

# Chotnicka

PIESMO P.S.K.

Rok III

Sierpień 1945 r.

Nr 8 (23)





## POLSKI SIERPIEŃ

W duszy każdego Polaka sierpień jest przepasany w pół niby snop wiązaniem wielkich dat i rocznic, które w jeden węzeł łączy przypadające 15. sierpnia Święto Żołnierza.

Gdy inne nasze rocznice narodowe sięgają odleglejszych czasów, rocznice sierpniowe ogniskują w sobie czasy nowe — nasze: 6 sierpień — to data wyruszenia w bój w r. 1914 pierwszej kompanii kadrowej Piłsudskiego z „Oleandrów” w Krakowie. 15 sierpień — jest rocznicą zwycięskiego odparcia najazdu bolszewickiego na Polskę i Zachód w r. 1920. 1 sierpień — to pierwsza rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego.

Gdy rocznice zeszlowiecznych powstań polskich sięgają niejako w jesień i lato zimę naszej historii: listopad 1830, styczeń 1863, — daty sierpniowe są niby gromy nawałnicy w samo południe lata. Dat tych nie trzeba wskrzeszać z ksiąg wysiłkiem wyobraźni jak owych dat dawniejszych. Stoją one bowiem tuż za nami. Starczy odwrócić głowy.

Wiązanie tych dat sierpniowych zawiera w sobie cały snop nowożytności polskiej siły i myśli politycznej. I choć dziś wrogi sierp z naszych łanów bierze sobie żniwa — bogaty nasz snop sierpniowy starczy na przyszłe siewy.

Toteż rozpamiętując nasze sierpniowe rocznice, starajmy się wyluskać z nich to ziarno, którego jutro będzie potrzeba. Data wyruszenia w bój pierwszej kom-

panii kadrowej 6. VIII. 1914 pozostanie na zawsze drogą sercu każdego żołnierza — jako dzień, który już Piłsudski nazwał dniem „nowych narodzin żołnierza polskiego”. Od upadku Powstania Styczniowego na lat prawie 50 zaginął wszelki słuch i myśl o polskiej sile zbrojnej. Dopiero w r. 1908 za sprawą Piłsudskiego w łonie P. P. S. inteligencja i robotnicy tworzą „Związek Walki Czynnej”, powstają „Związki Strzeleckie”. Równocześnie „Zarzewiaczy” — niepodległościowa młodzież narodowa — organizują „Polskie Drużyny Strzeleckie”. W chwili wybuchu pierwszej wojny światowej, w pamiętnym dniu 3. sierpnia 1914 „Strzelcy” i „Drużyniacy” wystawiają łącznie pierwszą kompanię kadrową i na znak jedności przed wyruszeniem w pole zamieniają swe „orzelki” i „blachy”. Wymarsz ich tak oto opisał Piłsudski:

„W najswobodniejszej części Polski, w Krakowie, stanęła do boju garść młodzieży, robotników i chłopów, by w rozpaczliwej chwili próbować walczyć nie pod obcym, lecz pod własnym polskim sztandarem, by umierać na polu bitwy nie jako żołnierzy spod obcego znaku, lecz jako żołnierzy polski. Było to w dniu 6. sierpnia, gdy sformowana w ten sposób drużyna pod moją komendą stanęła pod bronią jako pierwsza kompania kadrowa przyszłych wojsk polskich”.

Dzięki bojom legionów, dzięki pracy P. O. W. i innych organizacji — po-

czynna odradzała się i rozrastała w społeczeństwie polskim zanikła dotąd pierwotna „funkcja siły” — „siły, która z upodlenia i upadku wyprowadza”. Bez niej nie powstałoby wielkie państwo polskie, które ściągawszy na siebie w r. 1939 pierwszą napaść Hitlera, umożliwiło Zachodowi przygotowanie się do obrony. Bez niej nie do pomyślenia byłaby polska epopeja wojenna tej wojny — „czynne i uporczywe działanie zbrojne całego narodu”, o którym ongi marzył Piłsudski. To dziś jedynie — znów wedle słów jego — „trzyma nas na szachownicach politycznej Europy” — z której żadna przemoc strącić nas nie może. Dzięki niemu to — i w tej wojnie — „szalach, na które miecze rzucono nie braknie polskiej szabli”. I dzięki niemu również wiemy, że dziś gdy miecze nie wróciły jeszcze do pochew, i my swego nie mamy prawa złożyć. Przekreśliłobyś my przez to wszystkie dotychczasowe osiągnięcia i ofiary przed ostatecznym rozstrzygnięciem politycznych wyników tej wojny.

Tym większą winniśmy okazać stałość, wiedząc, że za nami stoi dziś cała przyszłość. Poczucie to musi w nas przebić tęsknotę do kraju. Wspomnijmy, jak się to Piłsudski skarżył ongi, że choć legiony walczyły w Kraju „pod ślicznymi górami karpackimi, w tymże ziemi kieleckiej, w pięknej ziemi lubelskiej... ojczyzny... nie czuliśmy wtedy

jestem za sobą”. A nie czuli jej jeszcze, bo ich pierwsze boje nie zdołały rozniecić w społeczeństwie potrzeby walki. Lecz my dziś po iluż latach — po Kampanii Wrześniowej, po sześciu latach podziemnej walki w Kraju, po dwu miesiącach Warszawskiego Powstania, po roku sowieckiej okupacji — choć tak dalecy od Kraju — mamy za sobą tę siłę, której dla swych legionów tak pragnął Piłsudski — siłę świadomości, że za nimi stoi cały naród, jego wola wolności i wszystkie najlepsze jego nadzieje, którym nie możemy się sprzeniewierzyć.

Bodźcem do wytrwania niechaj nam będzie przestroga Piłsudskiego: Wola jest potrzebna, aby gdy przyjdzie dobra chwila, nie spotkała wśród nas zawodu. Myśl ta i jemu samemu pomogła wytrwać wśród „ciężkich przeżyć, podczas cierniowej drogi na polach bitew, w więzieniach i obozach jeńców”. A wtedy także ciężko było wytrwać, bo już ku końcowi wojny legiony poszły za druty, a Piłsudskiego uwięziono, i mogło się wydawać, że już wszystko stracone: Szczepiarno, Magdeburg...

Ileż ożywczej otuchy powinniśmy umieć znaleźć w drugim marzeniu Piłsudskiego z epoki bojów legionowych — w jego marzeniu o Rządzie Narodowym, którego wówczas wcale nie było. O tym Rządzie Narodowym w rozkazach swoich każe Piłsudski myśleć swoim żołnierzom, gdy o świcie 6. sierpnia 1914 r. wkroczyli w granice zaboru rosyjskiego, by w imieniu Rządu Narodowego, który kiedyś dopiero będzie, — zająć pierwsze zdobyte polskiej ziemi skrawki. Później powie Piłsudski: Żołnierz potrzebuje prawnego rządu aby być żołnierzem, rząd potrzebuje prawnego żołnierza, aby być rządem”. Zaczernym z jego słów tej otuchy, że my mamy nad sobą nasz prawowity Rząd, że Rząd nasz jest i będzie jedynym prawowitym Rządem Narodowym, ponieważ prawność Rządu Polskiego nie wyływała nigdy z uznania obcych lecz z wierności polskiego żołnierza i obywatela, który własną krwią wycisnął w księdze historii najlepszą chyba pieczęć prawności swego rządu.

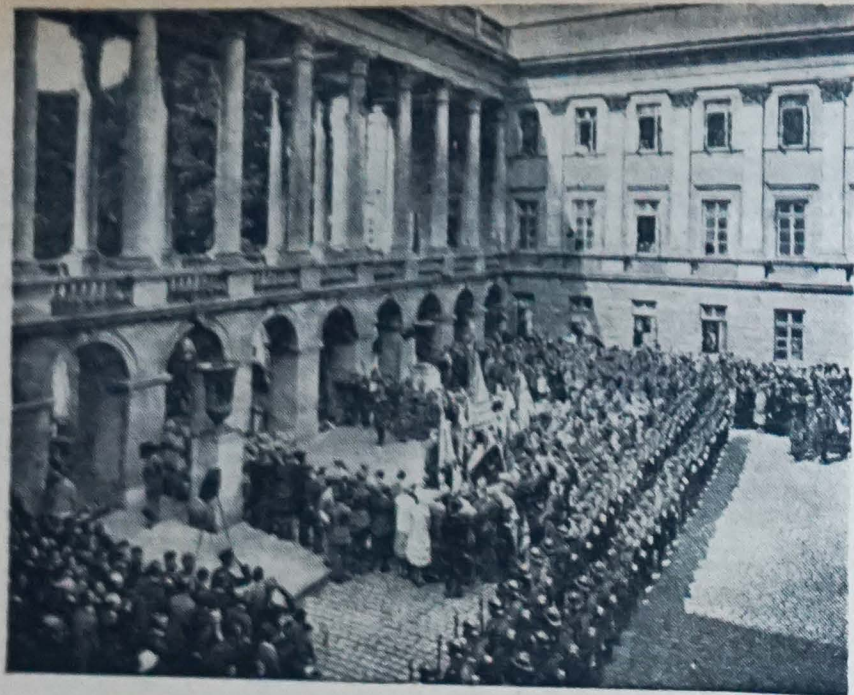
Drużyna wielka data sierpniowa to rocznica „Cudu nad Wisłą” — droga nam nie tylko jako data zwycięstwa, które stało się fundamentem naszej niepodległości i źródłem siły dla narodu na wszystkie próby tej straszliwej wojny. Rocznicą ta przypomina nam, że wojna r. 1920 nie była jedynie wojną o naszą granicę wschodnią, o nasz byt i niepodległość. Rocznicą ta daje nam klucz do zrozumienia sytuacji dzisiejszej, bo jak w r. 1920 celem kampanii bolszewickiej było zalenie całej Europy — tak i dziś zawładnięcie Polską i wschodnią polacją

Niemiec jest tylko podstawą wyjściową dla sowieckich zakusów wobec Europy. Jeśli wtedy Polska zdołała się sama obronić — to dziś tym pewnie winniśmy wierzyć, że Zachód nie ulegnie, że osadzi najeźdźcę, że w ostatecznym wyniku światowych zmagania wywoła na Moskwie warunki prawa i sprawiedliwości — warunki takie jak te, które my 25 lat temu sami umieliśmy Moskwie poddyktować. Ta rozumna wiara każe nam uzbroić serca hartem: wytrwajmy! Aby, gdy przyjdzie nareszcie dobra chwila — nie znalazła w nas samych zawodu.

Trzecia data sierpniowa to pierwsza rocznica wybuchu Powstania w Warszawie. Podnieśmy oczy ku tej tragedii; uprzytomnijmy sobie, że — acz Powstanie wybuchło z konieczności obrony Stolicy przed jej uplanowanym zniszczeniem — dla uprzedzenia sowiecko-niemieckiej bitwy na ulicach Warszawy — to jednak celem Powstania było na przełomie obu okupacji okazać narodowi i światu, że „dążąc do istotnej niepodległości — Polska nie chce już otrzymać wolności w darze od nikogo... aby nie były jej dyktowane warunki sprzeczne z interesami, tradycjami i godnością Narodu... Chcielibyśmy być wolni i wolność sobie zawdzięczać” (z mowy Delegata Rządu). Ta wola absolutnej niepodległości Polski, która pociągnęła do Powstania cały lud Warszawy, która zbrała w bój wszystkie stany i warstwy społeczne — ta wola niezajęta granic ofiar i poświęceń, wyjęta z ponadludzkiego bohaterstwa — ta wola każdemu żołnierzowi na obczyźnie nie powinna być rozkazem do wytrwania, do uśmierzenia wszelkiej rozterki — powinna być dlań ostatecznym upewnieniem, że kraj cały, a w nim każdy kto żyje, pragnie, żąda, rozkazuje mu, ażeby wytrwał w walce do końca.



St. Hajkowski: Nocna szarża pod Jazłowcem (r. 1919)



W Święto Żołnierza w Warszawie — hotel prochom Żołnierza Nieznanego.

# BOMBA I KAPITULACJA

(Miesięczny przegląd wydarzeń)

## Po Konferencji wielkiej trójki

6000 słów oficjalnego komunikatu z obrad w Poczdamie ma przekazać światu rezultaty długich berlińskich rozmów wielkiej trójki. Równie tyle słów można poświęcić sprawom przez wielką trójkę na konferencji poczdamskiej niezalutowanym, przynajmniej niewidocznym w komunikacie, ze sprawą cieśnin tureckich, losu Austrii, i t.p. Na czele Niemniej komunikat z obrad wielkiej trójki jest kolejnym dokumentem prób znalezienia kompromisu pomiędzy trzema wielkimi mocarstwami kosztem zarówno pokonanych Niemiec jak i kosztem tzw. małych narodów, oraz próbą utrwalenia dyktatu trzech mocarstw na kontynencie europejskim w pierwszym rzędzie. Toteż postanowienia berlińskie stały się dalszym rozwinięciem Jalty i dalszym sowieckim zwycięstwem.

Uchwały poczdamskie na pierwszym miejscu zawierają schemat podziału niemieckiego łupu. I tu Moskwa pełne odnieła zwycięstwo. Zabezpieczywszy sobie we własnej sferze okupacyjnej nieograniczoną możliwość ogolocenia tej części Niemiec z urzędzeń fabrycznych bez jakiegokolwiek kontroli ze strony aliantów zachodnich, równocześnie zabierze Moskwa w strefach anglosaskich 15% przemysłowych urzędzeń przeznaczonych na pokrycie pretensji reparacyjnych aliantów wzajemnie za dostawy żywnościowe, a 10% bez żadnej rekompensaty. Taką cenę kazała sobie Moskwa zapłacić za odegraną rolę głównego pomocnika armii niemieckiej. Sprrowadzenie Niemiec do poziomu samowystarczalnego państwa rolniczego pozbawionego przemysłu, a przede wszystkim przemyśle wojennego, ma być następstwem wykonania tych uchwał. Na razie jedno jest pewne, że perspektywa wspólnego po-

działu, nawet nierównego, niemieckiego łupu znakomicie przyczyniła się do utrzymania jedności alianckiej. To, że przy ustalaniu wysokości odszkodowań niemieckich pominięto potrzeby małych narodów, a nawet i Francji, że Polska ma dostać odszkodowania w ramach wspólnomyślności Rosji Sowieckiej — jest jedynie logicznym rozwinięciem zasad dyktatu trzech mocarstw.

Sowiecki punkt widzenia zwyciężył również w sprawie zasad politycznych i ekonomicznych, jakie mają być stosowane wobec narodu niemieckiego. Polityka ma być jednaka we wszystkich sferach okupacyjnych; na terenie całych Niemiec mają być popierane te same partie polityczne o charakterze ogólnoniemieckim. Ze skończyć się powinno według życzeń Moskwy penetracją na całe Niemcy, przede wszystkim ośrodków politycznych dysponowanych przez Rosję — nie ulega wątpliwości.

W Londynie ma w przyszłości zbierać się komisja pięciu ministrów spraw zagranicznych — Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Rosji, Francji i Chin by m. in. ustalić warunki pokojowe dla Włoch, Rumunii, Węgier, Bułgarii i Finlandii.

## Jeszcze raz Polska

Na konferencji i w jej komunikacie sprawa Polska zajęła jedno z naczelných miejsc. Rządy trzech mocarstw jeszcze raz potwierdziły, że z ich punktu widzenia prawowity rząd polski przebywający w Londynie po prostu nie istnieje, a nawet zobowiązały się baczyc, by majątek państwa polskiego zagranicą nie został „nielegalnie” sprzedany lub ukryty, tak by moskiewskiej w Polsce agencji nie tylko przypadła cała Polska,

Jedności Narodowej zachowują nadal to znaczenie jako nasz program na przyszłość. Bo tylko polskie ręce mogą przeprowadzić ku pożytkowi narodu tylko zupełna niepodległość jako „Jedność siły” państwa polskiego może zapewnić ich realizację.

Idee wszystkich sierpniowych rocznic ogniskuje i kojarzy nadchodzące Święto Żołnierza, które do tamtych rocznic daje błysk swej własnej myśli. Jest to bowiem święto jedności ducha wszystkich polskich żołnierzy — bez względu na to, jakimi szli szlakami i jakie różniły ich losy — święto, które winno tak ich łączyć w duchu, jak się w jedną Wiąz łączy wszystkie jej dopływy — w jeden nurt służby i sprawy.

Święto Żołnierza — to wreszcie symbol tej siły, którą wedle słów Piłsudskiego, jest „rozkosz mocowania się z dzieł i zwyciężania losu własnymi siłami”.

Janosta

## Zwycięstwo Labour Party

W czasie konferencji po klęskę wyborczej ubył jeden z głównych twórców teherańsko-jaltańskiego dyktatu trzech mocarstw — Winston Churchill. Nie tylko jego partia konserwatywna poniosła klęskę wyborczą, ale klęskę poniósł i on sam. W okręgu, w którym kandydował Winston Churchill, wódz zwycięskiej wojny miał jako przeciwnika nikomu nieznanego niezależnego kontrkandydata Aleksandra Hancocka, gdyż partia pracy w uznaniu zasług Churchilla, jako przewodcy narodowego w czasie zwycięskiej wojny, kontrkandydata nie wystawiła. I oto „dziki” kontrkandydat zdobywa w walce z Churchillem 10.000 głosów przy 38.000 głosów za premierem. Czyli co piąty wyborca w okręgu Woodford Essex wyraził osobiste wotum nieufności brytyjskiemu premierowi.

Dwanaście milionów wyborców brytyjskich oddało swe głosy na listę partii pracy, za konserwatystami głosowało 9 milionów wyborców. Rezultat — absolutna większość socjalistyczna w Izbie Gmin, do której weszło 393 labourystów i 196 konserwatystów. Wyborca angielski, dążąc do wyraźnego oblicza nowego parlamentu, równocześnie przysporzył gruntowną klęskę liberalom.

Amerykański „Time” w sposób następujący starał się określić przeciw czemu i za czym wypowiedział się angielski wyborca. Głosował przeciw: „dziesięcioletniemu monopolowi rządzenia partii konserwatywnej (niezależnie od koalicyjnego charakteru ostatniego rządu w latach wojny, nie kto inny tylko konserwatyści byli właściwymi kierownikami polityki brytyjskiej); przeciw „osobistym rządom” Churchilla; przeciw pamięci Monachium, za które większość opinii czyni odpowiedzialnymi konserwatystów; przeciw polityce rządu konserwatywnego w stosunku do Hiszpanii i Grecji i zbytniemu przywiązaniu do rodzin królewskich w Europie; przeciw Churchillowskiemu sposobowi prowadzenia kampanii wyborczej, w której zaatakował on socjalizm jako etap na drodze do totalizmu; przeciw konserwatywnemu progra-

ale by jej na łup wydać nawet skromne dobra materialne państwa polskiego zagranicą. Łaskawsza okazała się wielka trójka w stosunku do nas, obywateli polskich poza granicami Kraju. Rządy amerykański i angielski zobowiązały się tylko ułatwić powrót do Kraju pod sowiecką okupację tym spośród nas, którzy dobrowolnie będą pragnęli powrotu. Oznacza to potwierdzenie zasady, że obywateli telom polskim poza granicami Kraju będzie oszczędzona konieczność popełniania samobójstw, by tak, jak Ukraińcy nadnieprzańscy, nie byli zmuszani przemocą wracać do Kraju w ręce NKWD.

Rządząca w Polsce z łaski trzech dożdziemców agentura zwana „rządem jedności narodowej” zobowiązała się jeszcze przeprowadzić „wolne wybory”. Prawie równocześnie poszły w świat wiadomości radia moskiewskiego, że wyborcy w Polsce będą odłożone co najmniej do początku przyszłego roku. Tymczasem do początku przyszłego roku. Tymczasem trwają przygotowania obejmujące m. in. szkolenie 700 000 Rosjan, uczących się języka polskiego, którzy w okresie kampanii wyborczej będą mieli za zadanie nauczenie Polaków prawdziwego „patriotyzmu”.

Prowizorycznie ustalono granice Polski na zachodzie wzdłuż Odry i Nisy Łużyckiej. Z Prus przynano Polsce część zachodnią, część wschodnią wraz z Krolewcem ma przypaść w udziale Z.S.R.R.

Warto przypomnieć, że nie tylko tak ustalone granice polskie na zachodzie mają charakter prowizoryczny do czasu zwołania konferencji pokojowej, ale, że równocześnie wstrzymano przesiedlanie Niemców ze świeżo przyznanych Polsce ziem zachodnich, kontynuując jednak przymusowe przesiedlanie Polaków na

te ziemie, a wojska czerwone, które w Polsce, pomiędzy linią Curzona a granicą zachodnią z roku 1939 rozmieszczone są „tylko” w punktach węzłowych, pozostają na ziemiach zachodnich jak na terenie okupowanym.

Warto też przypomnieć opinie półoficjalnie nadawane ze statku „Augusta” w czasie podróży prezydenta Trumana do Europy, w których mówił się: „Od Rosji prezydent Truman pragnie uzyskać wszelką pomoc poza wypowiedzeniem wojny Japonii i jest gotów zażądać od Stalina zobowiązania ograniczenia rosyjskiej infiltracji w wyzwolonej Europie, a szczególnie na Bałkanach i zażądać zobowiązania, że Rosja nie będzie czyniła żadnych bezpośrednich lub pośrednich wysiłków dla skomunizowania Jugosławii, Albanii lub północnych Włoch”.

Oczywiście, że taka polityka oznaczała oddanie pozostałej Europy środkowo-wschodniej łącznie z Polską na łaskę i niełaskę sowieckiej okupacji. Nie znaleźliśmy w komunikacie jakiegokolwiek zobowiązania sowieckiego zaprzestania komunistycznej penetracji na wymienione kraje, choć w sprawie Polski jeszcze raz, bez reszty nieomal, przyjęto sowiecki punkt widzenia.



(fot. Hrynkiwicz)

Marsz. Alexander i gen. Anders (3. VIII. 45.)

mowi na okres powojenny i ich obaw przed reformami społecznymi”. Wyborca według amerykańskiego tygodnika wypowiedział się: za „rządami partii a nie osoby; za partią o przemysłowym programie; za silną Wielką Brytanią, której pozycja w świecie daleka od roli mocarstwa nr. 1 powinna być wzmocniona przez nacjonalizację kluczowych przemysłów; za programem społecznego dobrobytu; za polityką zagraniczną wzmocnioną przez węzły łączące przewodców partii pracy z postępowymi środowiskami Europy”.

Zwycięstwo Partii Pracy określone zostało przez wielu poważnych obserwatorów politycznych jako „pokojowa rewolucja” w stosunkach wewnętrznych Wielkiej Brytanii. Padły stanowcze zapewnienia, że w każdym razie nie jest to reżym socjalizm bolszewicki, a przeciwnie socjalizm brytyjski właśnie może okazać się skuteczną tamą przeciw bolszewizmowi, a przede wszystkim przeciwko jego demagogicznemu monopolowi na hasła sprawiedliwości społecznej. Znany dziennikarz amerykański Herbert Matthews nie zważał się nawet przed następującą opinią: „Historia może wykazać, że ten sam naród, który przez Magna Charta w r. 1215 wziął przewodztwo ludzkości, który przewodził w latach rewolucji przemysłowej i wórczego liberalizmu, znowu bierze jeszcze raz przewodztwo ludzkości, a przynajmniej zachodniego świata w dążeniu do nowej formy liberalizmu, którą oni nazwali socjalizmem”. Zapowiedziany program reform społecznych, mających nastąpić w najbliższym czasie, obejmuje nacjonalizację banku angielskiego, kopalń węgla, przemysłów kluczowych ze stalowym na czele, transportu lądowego itd.

Sięgnięcie zagranicznej polityki brytyjskiej do współpracy z elementami postępowymi w Europie może częściowo naprawić szkody wyrządzone opinii brytyjskiej na kontynencie europejskim w tym okresie, gdy przez kompromis z Rosją okazała się ona bezpryncypialną, bezideową taktiką. Nowy minister spraw zagranicznych Bevin mówi o współpracy z Niemcami, o konieczności zmiany postawy w stosunku do Włoch; prasa socjalistyczna pisze o konieczności odbudowy

utraconego kapitału zaufania do polityki brytyjskiej na europejskim kontynencie. „News Chronicle” pisze o konieczności odrzucenia cynizmu. Rzeczy obiecujące i szlachetne. Tylko, jak to wszystko pogodzić z programem współpracy z najbardziej cyniczną Moskwą.

## Bomba atomowa

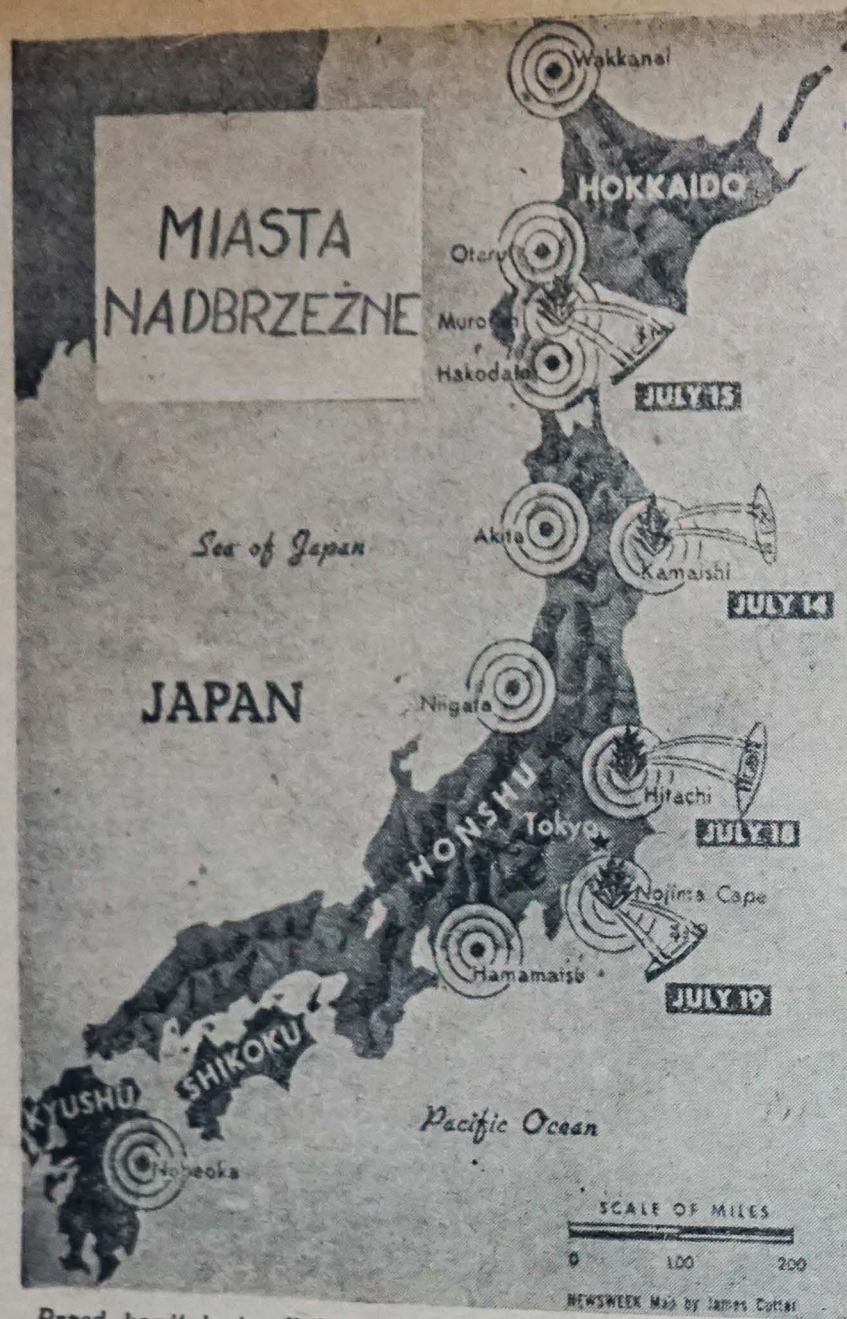
Z konferencji w Poczdamie Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Chiny wystosowały ultimatum do Japonii, żądając kapitulacji, ostrzegając przed perspektywą zupełnego zniszczenia. Japonia ultimatum odrzuciła. 6. VIII. została na japońskie miasto Hiroshima zrzucona pierwsza bomba atomowa, która zmiotła 60% miasta, a pod gruzami znalazło śmierć 200 czy 300.000 osób. Prasa światowa jednogłośnie uznała, że jest to początek nowej epoki, przede wszystkim początek zupełnie nowej strategii, a równocześnie perspektywa największej w dziejach świata rewolucji przemysłowej, jeżeli uda się kolosalne możliwości zastosowania energii atomowej zaprzęcić w służbę przemysłu jako źródło energii.

Państwa anglosaskie, którym wspólny wieloletni wysiłek uczonych i 2 miliardy dolarów — dały w rezultacie bombę atomową, w ciągu jednego dnia okazały swoją ogromną przewagę militarną. Komentarze depesz Reutera dość szczerze dały wyraz tej prawdzie:

„Bomba atomowa i jej fantastyczne skutki spowodowały, że należy uznać decyzje strategiczne powzięte w Poczdamie, Teheranie i Jaltcie za przestarzałe. Tak twierdzą eksperci wojskowi.”

Ten sam Reuter stwierdza małą aktualność i małe znaczenie postanowień granicznych, biorąc za przykład do rozważań opanowane przez Rosję Międzymorze: „Granice strategiczne we wschodniej i południowo-wschodniej Europie, które były kością niezgody na wszystkich konferencjach wielkiej trójki, nie zapewniają już pokoju międzynarodowego. O wiele ważniejszą niż sprawa granic strategicznych jest kwestia kontroli produkcji bomb i pocisków atomowych”.

Dalej czytamy: „Eksperci w świetle tego nowego wynalazku wskazują, że kontrola Dardaneli, czy kanału suezkiego, posiadanie przez Rosję Sowiecką



Przed kapitulacją: flota amerykańska ostrzeliwuje nadbrzeżne miasta Japonii

Królewa, czy np. posiadanie Renu lub Kolonii nie może być dłużej miarą potrzeb strategicznych?

Podkreśla się, że mocarstwa anglosaskie nie mają zamiaru dzielić się korzyściami płynącymi z posiadania tego epokowego wynalazku. „Eksperti wojenni są zgodni, że tajemnicą bomby atomowej, państwa ją posiadające, nie będą się dzieliły z innymi mocarstwami”.

Zapowiada się wreszcie: „Małe państwa będą obecnie bardziej niż kiedykolwiek zależne od tych wielkich mocarstw, które będą miały w dyspozycji tę straszliwą broń. Lecz nikt nie pomniejszy niebezpieczeństwa współzawodnictwa wielkich mocarstw w użyciu bomby atomowej jako narzędzia zniszczenia”.

Wyciąg nauki anglosaskiej z nauką niemiecką został wygrany w ostatniej chwili. Świat jest zgodny, że zupełnie inaczej mogłaby wojna wyglądać, gdyby uczeni niemieccy wygrali ten wyścig. Może niejedną modliwą drętkoczną wyszeptali usta wierzących ludzi, że tak a nie inaczej zrzuciła opatrzność.

Depesze poniosły w świat zapewnienia, że monopol na produkcję bomb atomowych, chociażby przez przewagę w posiadaniu miejsc eksploatacji rud uranowych, mają Stany Zjednoczone i Kanada. Lecz pojawiły się i skromne notatki o

uranie w Rosji Sowieckiej, a na pewno znacznie bardziej zaprzęta ludzkie umysły... niż wypełnia szpalty dzienników — pytanie: „Ma Rosja Sowiecka czy też nie ma możliwości w chwili obecnej produkowania bomb atomowych?”

Kłeska, i to szybka, Japonii zdaje się być przesądzona, a druga bomba na Nagasaki ma przypomnieć i udowodnić Japończykom, że pierwsza nie była wyjątkiem. Radio japońskie nie ukrywa przed swymi słuchaczami potworności zniszczenia i ogromu ofiar ludzkich. Protestuje też przeciw barbarzyństwu.

### Moskwa „wierna aliantom”

W trzy dni po zrzuconiu pierwszej bomby atomowej na miasto japońskie, komisarz Molotow w deklaracji wypowiedzianej w Japonii powoływał się bardzo gruntownie na życzenie zachodnich mocarstw anglosaskich, by Rosja Sowiecka przystąpiła do wojny na Dalekim Wschodzie. W deklaracji tego samego Molotowa, który 17.IX.1939 powoływał się w uzasadnieniu ataku na Polskę na to, że „państwo polskie istnieć przestało”, czytamy: „rząd sowiecki wierny swym aliantom przyjmuje ofertę i przyłącza się do deklaracji alianckiej z 26.VII.1945”. Czas rozpoczęcia działań wojennych dobrano tak, by zbiegł się z

40 rocznicą rozpoczęcia przez delegację rosyjską rozmów w Portsmouth, zakończonych utratą Port Artura. Niezależnie od całej sztuczności tego tłumaczenia, nawet United Press nie zawahała się w komentarzach zaznaczyć, że „wypowiedzenie wojny przez Rosję Sowiecką bez wątplenia zaskoczyło brytyjskie opinia publiczne, ponieważ nie oczekiwano przyspieszenia Rosji do wojny w tak krótkim czasie. Panuje przekonanie, że użycie bomby atomowej mogło skłonić Rosję do przyspieszenia swego udziału w ostatecznym ciosie wojennym wymierzonym Japonii”.

Nie od rzeczy będzie przypomnienie innych komentarzy nie tak dawno tłumaczących, że Rosja Sowiecka nie może przystąpić do wojny przeciw Japonii, gdyż nie pozwala jej tego przyrodzone polityce sowieckiej poczucie prawa, wymagające, by tym razem w kwietniu 1946 upłynął termin wypowiedzianego układu o nieagresji. Okazało się, że „uczucie wierności dla zachodnich aliantów”, (poparte bombą atomową) przewyciężyło skrupuły prawne.

Armie sowieckie, które ocenia się na 50 dywizji, atakują z dwu stron Mandżurię.

Eksperti wojenni twierdzą, że dowodzi to, iż Rosja liczy się z kapitulacją Japonii przed zimą, kiedy to Mandżuria staje się jednym z najzimniejszych miejsc na ziemi.

Wypowiedzenie wojny Japonii poprzedziła Moskwa długimi rozmowami z chińskim premierem Soongiem, które według domysłów miały dotyczyć demokratyzacji rządu w Czungkingu, czyli wprowadzenia komunizmu i specjalnych praw Rosji w chińskim Singkiangu i w Mandżurii oraz „niepodległości” Korei.

Przed wypowiedzeniem wojny Japonii powstał też w Jenanie, głównie z jeńców japońskich, komitet wolnych Japończyków pod nazwą „Liga wyzwolenia japońskich i „patriotów” dla Japonii nie atakuje ani „militaryzmu, ani nawet japońskiego cesarza, ale z całą furją zwalcza kapitalizm i kartele, które są odpowiedzialne za wywołanie wojny. Bierut japoński nazywa się Susuko Okano, a na Osóbkę Morawskiego względnie Mikołajczyka przewidziany jest Yukio Ozaki.

Czy bomba atomowa nie pozwoli tym patriotom odegrać przewidzianej dla nich roli, przyszłość okaże.

### Co dalej?

Wynalazek bomby atomowej, zaprzęgnięcie energii atomowej w służbę woli ludzkiej nasunęło wiele na ogół pesymistycznych refleksyj myślicielom, publicystycznym, politykom. Era wielkiej pomyślności albo zniszczenia cywilizacji — otoskrajności otwierające się przed ludzkością, której poziom moralny wcale nie uścisną, której poziom moralny wcale nie usprawiedliwia władania tak potężnymi siłami. Barbarzyństwo użycia bomb atomowych do zmiatania z setkami tysięcy mieszkańców wyciętych miast z setkami tysięcy ludzi spotkało się z pierwszą reakcją zarówno kół katolickich, jak i myślicieli socjalistycznych. Oczywiście nie ma mowy o litowaniu się nad japońskimi agresorami. Lecz przenikliwsze umysły widzą możliwość najstraszniejszej ruiny, jaką kryje się w znajdowaniu się w rękach sztabów wielkich mocarstw tak potężnego narzędzia zniszczenia. Z drugiej strony łatwo zdać sobie sprawę z absurdalności

nawoływania, by narychmiast porzucić wszelkie prace nad bombami atomowymi i wykluczyć możliwość ich użycia. Nie może być o tym mowa w świecie, w którym nie tylko istnieje niepokonana Japonia, ale w którym przede wszystkim różnice moralne i światopoglądowe pomiędzy porażonymi i zwyciężonymi aliantami są aż nadto widoczne, a podział łupu wojennego czy zdobytego terytorium jest narzędziem utrzymania równowagi.

Wybory w Anglii, bomba atomowa, Rosja w wojnie z Japonią, wszystko to odwraca uwagę świata od tego, co się tymczasem dzieje w Europie Środkowo-wschodniej, gdzie kompromis pomiędzy wielkimi mocarstwami oddał los 110 milionów Europejczyków w ręce N. K. W. D. W tym kompromisie poważną rolę odegrali, z własnej czy nie z własnej woli, wczorajsi przewodcy narodów Międzymorza, którzy swym autorytetem mieli pokryć sowieckie plany. W ubiegłym tygodniu zakończył się po niewczasie jeden z takich kompromisów. Król jugosłowiański Piotr, który pod presją Churchilla mianował regencję gwoli Tita, cofnął jej swe pełnomocnictwa, oświadczając: „W kraju moim panuje w pełni dyktatura rządów Tita. Zniknął wszelki ślad prawa z organizacji państwowej. Zniknęła wolna wola ludu. Trwają tylko przygotowania do plebiscytu pod groźbą siły i terroru tajnej policji Ozna, która zastąpiła Gestapo”.

Król Piotr przebywając w Londynie, mógł wyciągnąć wnioski z tragicznych wieści nadchodzących z umęczonej Jugosławii.

Jesteśmy w tej sytuacji, że prezydent R.P. nie poszedł śladami jugosłowiańskiego monarchy, nie rzekł się swych praw na rzecz moskiewskich agentów. Z zawieruchy wojennej, mimo nacisków najsilniejszych, ocaliliśmy swe władze państwowe, nie daliśmy wydrzeć sobie swych moralnych praw i prawnych atutów. Dziś, gdy koło historii zaczyna się toczyć w zawrotnym tempie, a dnia jutrzejszego nie sposób przewidzieć, dalecy od wyciągania pochopnych nadziei i wniosków, nie możemy nie widzieć, że na właściwej drodze jesteśmy właśnie my Polacy.

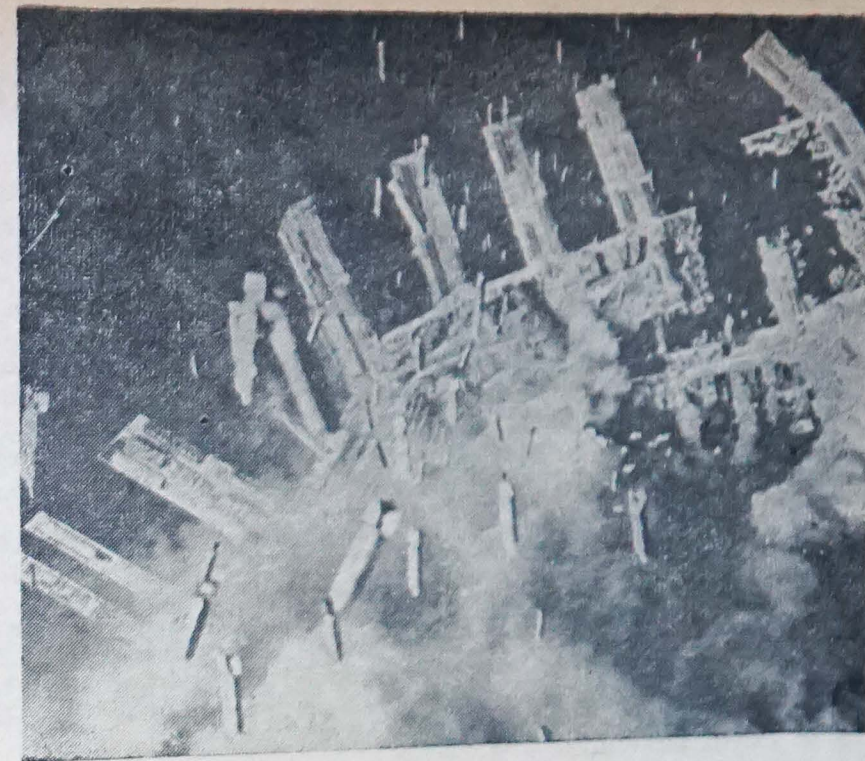
Rozpętają się w świecie siły, których opanowanie przekracza możliwości kompromisu cudzym kosztem. Nie powiększiliśmy gromady samobójców i niewolników pędzących w obłądnych splotach kapitulacji przed brutalną siłą i przemocą ku katastrofie.

A jeżeli jutro czy pojutrze ludzkość zechce zawrócić z tej drogi, która nieuchronnie do zniszczenia i katastrofy prowadzi, jeżeli zechce się oprzeć o prawo i wartości moralne, jeżeli zechce świadomie ratować swą kulturę przed zagładą, musi wrócić na drogę, której nie tylko symbolem, ale i siłą ogromnej rzeszy swych niepodległościowców ustawił się naród polski.

\*\*\*

### Japonia kapituluje

W pięć dni po zrzuconiu pierwszej bomby atomowej, radio japońskie podało notę rządu japońskiego, przekazaną za pośrednictwem rządów szwajcarskiego i szwedzkiego, wyrażającą gotowość kapitulacji: „Rząd japoński wyraża gotowość przyjęcia warunków wyluczonych we wspólnej deklaracji wydanej w Poczdamie 26 lipca br., podpisanej przez



Japońskie miasto przemysłowe - Kobe zbombardowane przez amerykańskie superfortece

szeffów rządów Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Chin, do której to deklaracji dołączył się następnie rząd sowiecki. Rząd japoński rozumie, że wymieniona deklaracja nie zawiera żadnego żądania, któreby przesądzało prerogatywy cesarza, jako suwerennego władcy”.

W ten sposób Japonia pagnęła uratować przynajmniej władzę cesarską. Po ofercie japońskiej rozpoczęły się otoczone tajemnicą narady szefów rządów alianckich. Według doniesień niektórych agencji przeciw zachowaniu władzy cesarskiej w Japonii miały opowiedzieć się Chiny i Z. S. R. R.

Odpowiedź aliantów wyrażała zgodę na japońską ofertę kapitulacyjną pod warunkiem jednak poddania również władzy cesarskiej pod rozkazy naczelnego dowódcy: „Od momentu kapitulacji władza cesarska i rządu japońskiego będzie poddana pod rozkazy naczelnego dowódcy wojsk alianckich, który przedsięwzięcie takie kroki, jakie uzna za stosowne dla wykonania warunków kapitulacji”.

Rząd japoński dwa dni zwlekał z udzieleniem odpowiedzi na propozycje alianckie. Dla przyspieszenia kapitulacji Japonii propaganda amerykańska zaczęła mówić o użyciu trzeciej bomby atomowej. Wzniesione również zostały naloty na Tokio. Ze zwłoki korzystała pośpiesznie Rosja Sowiecka, której wojska nieomal bez oporu marszem zmotoryzowanych kolumn

zajmują Mandżurię i Koreę, zdobywając dla Rosji bez przelewu krwi nowe terytoria, za zdobycie których w wojnie na Dalekim Wschodzie 100 tysiącami zabitych zapłaciły Stany Zjednoczone. Radio moskiewskie uderzyło w najbardziej bojowy ton, chcąc koniecznie przekonać świat, że ściąganie butów z trupa też jest akcją wojenną. Charbowski wołał: „Zołnierze, naprzód, do zwycięstwa. Wróg musi być zniszczony. Nie miejcie litości. Ojczyzna wzywa was do wykonania obowiązku”.

Wreszcie 14.VIII przysłała japońska kapitulacja. Trzeci z czterech totalizmów został powalony. Lecz w przededniu japońskiej kapitulacji byliśmy świadkami jeszcze jednego bluffu sowieckiego, a zarazem w przededniu uzyskania przez Rosję Sowiecką ogromnego wojennego przemysłu w Mandżurii, co łącznie z zagrabionym przemysłem krajów Międzymorza i Niemiec niezwykle wzmoże potencjał wojenny Rosji..

Trwa tragiczny paradoks. Po jednej stronie jest w dyspozycji bomba atomowa i największa potęga przemysłowa i wojenna, po drugiej bezwzględna wola działania i konsekwentny plan podboju. Gdzie kres nonsensu?

Jedno jest pewne dla nas Polaków — niepodległościowców: przed nonsensem kapitulować nie wolno.

M. p. 14.VIII.

J. Ż.

† † †

**ochotn. Julia z Krassowskich Rusiecka**  
zmarła dnia 6 lipca 1945 r. w 7 Szpitalu Wojennym  
na skutek wypadku samochodowego

Pogrzeb odbył się dnia 8 lipca br. o godz. 16-tej z 7 Szpitala Woj.

# PIELĘGNOWANIE WIARY

Wielu, zbyt wielu ludzi nie docenia wiary. Wiara wchodzi tak dalece w skład ich wychowania myślowego i życia, że niemal nie zdają sobie sprawy z jej istnienia w sobie — a już w każdym razie mało się nią interesują. Ot, taki sobie składnik naszego duchowego gospodarstwa, znany i pospolity. Trzeba dopiero burzy, nieszczęścia i przesilenia, aby wydobyc zagadnienie wiary na powierzchnię naszej świadomości aby nas przekonać, że nie wiedzieliśmy co posiadamy.

Niestety bywa wtedy nieraz za późno. Wiara nigdy nie pielęgnowana została na dnie duszy podniszczona przez czas i nieprzyjemne wpływy; spłowiła i stała się wiotka; nie jest już siłą, która może dać oparcie w chwili nawałnicy. Za dużo zebrało się naokoło niej trudności i wątpliwości nigdy nie rozwiązanych, za dużo nawyków obcych jej treści stworzyło barierę, z poza której nie potrafi już działać. I gdy przychodzi burza, człowiek, co wiarę zaniedbał, nie może z siebie wykrzesać siły. Wierzy niby — teoretycznie — ale wiara niczego mu nie daje. Przede wszystkim nie daje mu mocy, nie promieniuje na czyn, który pozbawiony podstawy, musi być marny i przypadkowy. Iluż takich ludzi widzieliśmy! Gdy tylko przyszło do próby na serio, ci ludzie stawali się nieszczęśliwi: ich teoretyczna wiara nie mogła ich zapewnić o żadnym celu, ani żadnym sensie walki, życia i cierpienia. Ci ludzie szli zwykle na dno, nie tylko moralnie, ale nawet — oni, którzy chlubil się, że bez wiary potrafią lepiej obronić „biologiczną siłę” — fizycznie. Iluż ich było!

I dlatego jednym z najważniejszych obowiązków chrześcijanina jest pielęgnować wiarę. Pielęgnować znaczy tyle, co współdziałać we wzroście. Analogia ze wzrostem rośliny jest tu nawet duża — gdyż wzrostowi wiary nikt z nas nie może spowodować wprost: i jeden i drugi jest dany od Boga. Możemy za to stwarzać warunki, w których wiara będzie rosła — tak jak przez podlewanie, zasilanie gruntu, czyszczenie, ochronę przed słońcem i t.p., przyczyniliśmy się do wzrostu kwiatów.

Wysiłek powinien iść pod tym względem w trzech kierunkach: ku pogłębieniu treści wiary, ku rozszerzeniu jej wpływu i, nade wszystko, ku wzmocnieniu jej siły.

Pierwsze przykazanie: Będziesz powiększała swoją znajomość wiary! Dziwna rzecz, jak ludzie mają nieraz nierozsądny do tej sprawy stosunek. Wyuczają się za młodu zasad katechizmu, dobrych dla dzieci (bo ten katechizm, z którego się uczyli, dla dzieci był pisany), zdobyli zdobyty skarb na dnie duszy

i z szacunkiem przechowują go... w piwnicy duchowej, nigdy nie próbując nawet do niej zejść, aby trochę oświecić posiadane dobro. Nic dziwnego, że prawda nie bardzo przez dziecko rozumiana (bo i skąd dziecko może wiele zrozumieć w tak doniosłych sprawach), pozostaje niezrozumiana na zawsze. Zapomina się jeszcze to i owo — w końcu prawdy wiary stają się jak suche i niezrozumiałe formułki. I to ma być „pogląd na świat” dorosłej i inteligentnej kobiety, która w każdej dziedzinie tylu rzeczy się nauczyła, tyle przemyślała — prócz wiary. Naprawdę stosunek powinien stanowić już pod tym względem przedmiot codziennej naszej troski i opieki. Starając się znać swoją wiarę, starać się



Gen. Anders ogląda kaptliczkę wykonaną przez żołnierzy-artyst.

zrozumieć ją jak najlepiej, o ile to dla nas ludzi możliwe, starać się zobaczyć, jak w prawdach wiary łączy się w cudowną i nierównaną całość. Nauka o życiu i świecie, czytać, słuchać, co mówią lepsi od nas znawcy prawd Bożych — to jest postawa godna wyznawcy Chrystusa Pana. Na pewno nie traktowanie jej prawd jak zbioru niepotrzebnych nikomu i nigdy nie poruszanych rupiec.

Drugie przykazanie: Będziesz codziennie z większą a wpływ twojej wiary na życie! Nie wystarczy wierzyć, trzeba oczyma wiary patrzeć na świat i zdarzenia. Cóż z tego, że wierzysz w Boga, kiedy równocześnie nie potrafisz Bożym okiem popatrzeć na cierpienia, na nieszczęścia, na los, na

pracę, na twoje koleżanki, podwładne czy przełożone, na samą siebie? Okropnie jesteśmy wszyscy poganiami w tym względzie. Wierzymy mocno — w niedzielę podczas nabożeństwa; ale kiedy nam się mówi, że jest źle, nie przychodzi nam na myśl, że przecież wszystko co się dzieje, musi mieć Boży sens i cel. Gdy przychodzi radość czy cierpienie, nie umiemy odnieść je do Boga i przeżywamy je w ciasnym kółku naszych marnych naturalnych żyć. Kiedy mówimy o planach, nie sięgamy nigdy dalej, niż ludzki wzrok sięgnąć może rozumem. Na świat patrzymy tak, jak gdybyśmy nie mieli wiary. A tymczasem Boży punkt widzenia jest jedną z największych sił jakie człowiek zdobyć może. Widzieliśmy takich ludzi o Bożym wzroku w więzieniu, na turkaczce, w cierpieniu, w niebezpieczeństwie i przesileniach. Dlaczegożby nie starać się być jak oni? Naturalnie rzecz nie przychodzi od razu: trzeba się ćwiczyć. Trzeba codziennie uczyć się pamięci, że jest Bóg i jego wszechmocna ręka nad nami, że jest łaska i grzech — pamiętać w życiu o tym wszystkim, o czym tak dobrze potrafimy pamiętać na modlitwie i podczas nabożeństwa. Wysiłek jest, przynajmniej duży — ale to wysiłek, który się opłaci stokrotnie — bo nie ma człowieka spokojniejszego i ostatecznie szczęśliwszego niż ten, kto potrafi patrzeć na wszystko okiem wiary.

Trzecie przykazanie: Będziesz powiększała moc twojej wiary. Wiara jest jak roślina: pielęgnowana, zapanuje silne korzenie; bez wody zginie albo przynajmniej zwiotczeje tak, iż nie ostoi się burzy. Co robimy, aby wiarę wzmocnić? Zwykle nic. Gdyby Kościół nie wymuszał na nas tego minimum, na które jeszcze sarkamy — niedzielnej mszy świętej i codziennej modlitwy — nie robilibyśmy niczego. Sarkamy, kiedy nam zabrania celowego własnej wierze szkodzić przez zlekotnienie i rozmowy z tymi, którzy sięgają umiętliwymi tylko zwątpienie. Od Sakramentów uciekamy poza Wielkanocą jak od niebezpieczeństwa. Nic dziwnego, że wiara nie rośnie, ale maleje, że jest jej w nas coraz mniej, że staje się bezsilna i wiotka. Człowiek mądry postępuje całkiem inaczej: on wie, że aby wiara mogła mu być w ciężkich chwilach siłą i pomocą, musi ją pielęgnować i wzmocniać, musi dbać, aby z dnia na dzień i z roku na rok stawała się coraz silniejsza, coraz żywsza i wzmocnieniu głębsza. Nie wstydz się nie tylko dlatego, że to jest habbit, ale i w przekonaniu, że każde odważne przyznanie się do jej prawdy wzmocnia samą wiarę. Nie ucieka od źródła jej siły — od modlitwy i Stołu Pańskiego. Buduje własną wiarę, codziennie, ustawicznie, z wysiłkiem, jeśli potrzeba, w przekonaniu,

że nie ma wysiłku, któryby dał tak wielkie plony jak ten. „Nie straszny dla nas burzy czas, wszak silną przeciw mamą dłoń...” Dłoń? Zapewne. Ale na czas burzy ważniejsza od dłoni jest wiara. Pielęgnowujemy ją wytrwale i codziennie, zwiększamy jej głębię, zasięg i moc. Możemy być pewni, że wtedy ona nas nie zawiedzie. Nie jest za późno: trzeba tylko do pracy zabrać się dziś, zaraz, natychmiast.

I. M. Bocheński O. P.

NA OKŁADCE „OCHOTNICZKI”

Fotomontaż umieszczony na okładce niniejszego numeru naszego pisma (układu Z. i L. Haarów) zawiera fragmenty z pierwszych działań Legionów Piłsudskiego, z obchodów Święta Żołnierza w Odrodzonej Polsce, z walk w Powstaniu Warszawskim i 2. Korpusu we Włoszech.



Symboliczna kotwica na adriatyckiej plaży

## ANALOGIE MESJANIZMU

Historia kołem się toczy. Mimo zmieniających się warunków, podobieństwo zewnętrznych okoliczności — tj. czwarty i piąty podział Polski na krymskiej linii Ribbentropa — narzuca nam do rozwiązania przebrzmiałe, zdawałoby się, problemy z przed wieku, gdy zrodzony na emigracji polski mesjanizm roztrząsał nie tyle ogólnoludzki ile specyficznie polski problem narodowego męczeństwa; polega on na tym, iż Polska, nie będąc bardziej grzeszna od innych narodów, cierpi więcej niż inne.

Śmiałego mesjanistycznego rozwiązania, iż Polska jest „Chrystusem narodów”, nie można redukować do jednostronnej i „dosłownej” interpretacji, jaką zawiązujemy egzaltowanemu pseudomistykowi — Towiańskiemu. Równie niejasne jest potępienie wyżej wymienionej dołownej interpretacji mesjanizmu jako poglądu teologicznego i bronienie go z punktu widzenia patriotycznego uczucia. Falsz bowiem, będąc negacją bytu, nie może być źródłem ani siły, ani zbudowania. Jeśli mesjanizm zawiera ukrytą prawdę, którą może bronić patriota, musi to przede wszystkim uczynić filozof i teolog, gdyż on jeden zdola obiektywnie ugruntować owe często niejasno rozumiane, ale gorąco przeżyte intuicje serca i sformułować je jaśniej i bardziej przekonywująco, niż to czynią sami apologety narodowego sentymentu.

Dla sprawiedliwego ocenienia mesjanizmu jako „poglądu” należy pamiętać, iż prócz treści posiada on przepojoną uczuciem poetycką formę, mającą swe własne odrębne prawa, które należy uwzględnić, jeśli chce się zrozumieć jego treść. Jej fundamentalną cechą jest używanie porównań, czyli podobieństw. Filozof zwie to stosowaniem analogii, różniąc się od „jasnego”, jednoznacznego wyrażania się tym, iż analogia wyraża treść „częściowo jednoznacznie, częściowo wieloznacznie”. Istota jej nie polega na użyciu śmiałego obrazu, ale na

porównaniu dwu podobnych do siebie sytuacji, czyli stosunków; podkreślamy, iż łączący oba stosunki „nak równania nie oznacza tu matematycznie jednoznacznej identyczności, ale analogicznie wieloznaczne podobieństwo. Ta jej wieloznaczność jest niedoskonałością, do której zmuszony jest uciekać się ludzki umysł, gdy wyraża najwyższe, nie dostępne zmysłom prawdy: każdy najdoskonalszy jednoznaczny termin — zastąpiony np. do Boga — zawodzi i staje się częściowo wieloznaczny.

Są jednak i analogie pozorne, tzw. metafory. Falsz rodzi się nie tylko wtedy, gdy bierzemy metaforę za istotną analogię, ale również, gdy rozumiemy nieściśle przez poetę wyrażoną analogię w sensie dosłownym i jednoznacznym. Nie uwzględnienie tej fundamentalnej zasady uwzględnić te podobieństwa Chrystusa, iż nawet podobieństwa Chrystusa w Ewangelii, wzięte dosłownie, stasowe w Chrystusa, analogicznie, stały się źródłem fałszów i herezji. Komu się ta „niejasność” poetyckiego wyrazu nie podoba, niech pierwszy rzuci kamieniem na... Chrystusa i na chrześcijańską filozofię, zmuszoną mówić analogicznie o Bogu.

Jest tedy podwójnym obowiązkiem stróżów narodowego sumienia: 1) negatywnie wskazać, jak nie należy rozumieć wieloznacznych przenośni poetów, mających wyrażać prawdy religijne i filozoficzne; 2) pozytywnie sprecyzować ich istotny lecz ukryty sens, o ile „chłopski rozsądek” narodu sam już tego wcześniej uczynił. „Rozróżniać, aby jedno nie uczynił” — powiedział Maritain.

Zastosowane do mesjanizmu oznacza to, iż jest herezją uważanie inkarnację Drugiej Osoby Boskiej, odkupiaczającą ludzkość od śmierci grzechu „tak jak Chrystus”. Cała analogia redukuje się do powiedzenia, iż „sytuacja Chrystusa wśród ludzi jest podobna do sytuacji Polski wśród narodów”. To wieloz-

nacne podobieństwo polega przede wszystkim na tym, iż Chrystus i Polska cierpią: Chrystus absolutnie niewinnie, Polska częściowo za własne winy, częściowo niezastulenie — z racji swej polityczno-geograficznej sytuacji, wciśnięta z dopustu Bożego między młot a kowadło wschodniego barbarzyństwa i zachodniego materializmu. Następnie — Chrystus cierpił nie tylko niewinnie, ale cierpieniem Swym odkupił i uświęcił świat. Oto drugi warunek, bez którego nie zastulone cierpienie upodobniłoby się do „cierpiętnictwa” owych wschodnich fakirów, jako „sportu” bezmyślnego i przygotującego, często sadyistycznego.

Rozumie się, że nie możemy cierpieć „jak” Chrystus zbawiając świat, ale tylko „podobnie” do Chrystusa udoskonalając świat, względnie walcząc w obronie chrześcijaństwa, w obronie sprawy świętej i słusznej, za Wiarę w Boga, za „naszą i waszą wolność”. Nawet, gdy cierpienie Polski będzie częściowo zastulone, nie rozwiązana sprawiedliwie sprawa Polski pozostalaby palącym wyrzutem sumienia narodów; to pierwsza łaska udoskonalająca świat za Polski pośrednictwem.

Drugą łaską jest okoliczność, że chociaż są wśród naszego narodu ludzie słabi, gotowi ugiąć się przed bezprawiem, brutalnością naszych wrogów, chwiejność i egoizm naszych przyjaceli zmusza nas do wytrwania na darowanym nam przez Boga zaszczytnym stanowisku, a tym samym do „uchrześcijanienia” międzynarodowych stosunków. Bolesny dopust Boży, dający Polsce cierpieć specjalnie w obronie chrześcijaństwa jest chwalebny Krzyżem, gniącym jej barki, a lgnącym zarazem jak Niebieskie „Virtuti” na rycerskiej piersi Narodu, jest daną jej do rozwiązania Misją, którą może — jak apostoł Judasz — zmarnować.

Do spełnienia tej Misji dopomoże nam ostrzeżenie nas przed matematyczną interpretacją analogii „Chrystusa narodu”.



syjski i aliancka pomoc. Ale w pewnym momencie z tego samolotu spłyły się bomby. Ludzie uciekali do schronów. Zapóźno... ofiar było znacznie więcej, niż trzeba. Przyszedł jednak moment, że zaczęły się pojawiać pojedyncze samoloty ze zrzutami. Uwierzyliśmy znowu. Czekaliśmy na większe zrzuty. Niestety aliancki był tylko jeden. A byliśmy już głodni. I to wszyscy, zarówno wojsko, jak i ludność cywilna. Skąd wojsko brało sily do walki, do przetrwania, co je kusiło? Nie jedzenie. Siedzieli po 24, często po 48 godzin na barykadach, wracali na parę godzin, odpoczywali i wracali znowu. Wyglądali oni jak cienie, walili się z nóg ze zmęczenia. I śmieli się stać. Można powiedzieć, że właściwie do ostatniej chwili mieli humor, jakąś bujną radość życia, beztroskę i pogodę. Wykonywali swój obowiązek bez wahań, dyskusji i bardzo spokojnie. Nie rozumieli co to niemożliwość. W niemożliwych sytuacjach jeszcze znajdowali możliwości. Kochali się też oddziałami — jak rodzina.

Miasto już konało. Warszawa kończyła swą ostatnią walkę. Poddało się już Stare Miasto, Powiśle, Mokotów i Żoliborz. W rękach powstańców pozostało jedynie Śródmieście, a właściwie całe wielkie przestrzenie gruzów i powyginanych szkieletów żelaznych, rozrzuconych tak bezładnie, że trudno było określić, do jakiej przynależały ulicy. Jedynie południowa część Śródmieścia utrzymała się w możliwym stanie jeszcze do zamieszkania i tam zorganizowało się życie ostatnich placówek powstańczych i ludności. Wyrzuciła się bowiem przedziwna sytuacja. Ludność cywilna chociaż miała możliwość wyjścia z miasta w krótkich okresach

zawieszenia broni, wyprowadzona przez zorganizowane placówki P.C.K., kurczowo trzymała się domów, a właściwie piwnic i gruzów — i trwała; po prostu trwała w jakiejś wspaniałej, bezrozumnej, dziekiej i nieprawdopodobnej nadziei, że przecież coś się zmieni. Pierwsze chwile ekstazy i zachłyśnięcia się wolnością w pierwszym okresie powstania, zmieniło się w kurczowe chwytanie strzępów wolności, okupowanej ofiarami, ofiarami bez końca.

Ludzie wycofywali się razem z oddziałami powstańców z dzielnic zajmowanych przez Niemców lub przynajmniej usiłowali się wycofywać. Całe pielgrzymki przesuwały się z jednej dzielnicy do drugiej, szukając tam rodzin i nowego dachu nad głową. Zawalali piwnice, przejścia — brudni, wynędzniali i ciągle jeszcze wierzący, wbrew wszelkiej nadziei. Między jednym bombardowaniem a drugim, w przerwach między działaniami artyleryjskimi wybiegali na zawalone gruzami podwórza, gdzie ustawiali z paru cegieł kuchenki i gotowali strawę. Inni szukali studzien, wyczekując godzinami pod orwartym niebem i narażeni co najmniej na obstrzał granatników i gołębiarzy. Często czekanie było daremne, bo pompy przy studniach ciągle się psuły. Codziennie padały ofiary tych prób zorganizowania sobie życia i codziennie podejmowano je na nowo. Szpitale były przepełnione ranymi cywilnymi, których procentowo było znacznie więcej niż wojskowych. Co gorsza — prawdopodobnie od wody i wielkiej ilości much — przyplątała się jakaś choroba kiszek, zbliżona w objawach do czerwonki. Przeszli ją prawie wszyscy.

Każdy rano zrywając się od wiadomości prasowych i nadziei na pomoc, dawał chwilę złudy. Aż zaczynały grać

ciężkie działa, granatniki, miotacze min, Niziurko nad dachami przelatowały niemieckie samoloty. Były takie dni, gdzie całymi długimi dniami nie można było wyjść ze schronu. Każdy wiele razy znajdował się o krok od śmierci i każdy z przejściem opowiadał o jakimś cudownym uratowaniu i widomej łasce boskiej. Rósł kult Boga. Na każdym podwórzu stał przygotowany jeszcze przed wybuchem powstania ołtarz, obok urastały groby. Niektóre z nich wychodziły na ulice i tworzyły nasypy wzdłuż chodnika. Każdy grób był starannie ozdabiany przez rodzinę i przyjaciół. Zatracił się już dawno rozdział między żywymi i umarłymi. Wieczorami długo słychać było wspólne, głośnie modlitwy. O sklepieniu piwnic odbijały się słowa: „Kto się w opiekę...”

Pierwsza pogłoska o zamierzonej kapitulacji, o niemożności utrzymania się dłużej, przyjęta była z rozpaczą. Układy przeciągały się, walki ciągle jeszcze trwały. Ludzie dosłownie tracili grunt pod nogami i resztki wewnętrznego spokoju wobec spadającej na nich nagle rzeczywistości. Jednocześnie zdawało się, że i Bóg skrył się gdzieś daleko. Bo utrzymująca się dotąd piękna, słoneczna pogoda zmieniła się. Pod powalą niskich chmur płakało miasto — cicho, bezgłośnie, jesiennym drobny deszczem. Przebywanie w schronach stawało się kszmarem. Ostatnią noc przed kapitulacją jeszcze grały ciężkie działa. Całą noc nie można było zmruczyć oka. Rano nastąpiła cisza. Cisza na stałe. Miasto umarło. Wyszliśmy z miasta. Została legenda Warszawy i wielka, niespełniona jeszcze wiara w wolność.

Marta Tyszewicz

## RYŚ W KRAJU I DZIADEK Z LONDYNU

Trzyletni Ryś nie jest synem ani Marty, ani Pawła. Nie jest też przybłądą. Nie jest też wychowankiem. Owszem jest krewniakiem, ale to wcale nie charakteryzuje jego pozycji. Paweł twierdzi, że jest po prostu „specjalnością” Marty. Marta zaś twierdzi, że jest Rysiem ponad wszystkie inne dzieci. Tymczasem rzecz miała się tak: Ryś jest synem Kasi. Urodził się pod okupacją bolszewicką, a wzrastał pod okupacją niemiecką. Kasię poszukuje Gestapo i dawno już musiała zniknąć. Florka, siostra Kasi, jest we Lwowie. Bronce, trzeciej siostrze, mina partyzantów sowieckich wybuchła pod pociągami, i urwała obydwie nogi. Maria, rodzona babka Rysia, mieszkała już wtedy w Warszawie, a jego rodzony dziadek nie widział go nigdy na oczy, bo od roku 1939 mieszka w Londynie. Ryś więc został synem Marty i także figurował na przepustce z „Ostlandu” do „Generalnej Gubernii” w rubryce „Kinder”: Richard, 3 Jahre.

Określić Rysia jest bardzo trudno. Gdyby wnikoskował z tego, co o nim mówi Paweł w przystępnym humoru, należałoby sądzić, że to skończony kretyr. Gdyby wierzył Marcie na słowo, jest to absolutny geniusz.

Po prostu mały chudek, jasne włoski, niebieskie oczy i szczerze odstające uszy. Paweł go czasami za nie pociągał i wtedy wybuchł prawdziwy, nie na

zarty skandal. Marta upierała się, że uszy odstają tylko i wyłącznie dlatego, że Paweł się ich dotyka. Robiła straszne piekło. Brała Rysia na kolana i delikatnie



Rys. Krystyna Domańska

nie przyciskała mu uszy do głowy, „z powrotem”.

Ale pod pewnym względem Ryś był niezastąpionym dzieckiem w całej „Generalnej Gubernii” i zalety tej nie odmawiał mu nikt, nawet Paweł. Mówił bowiem do każdej kobiety: „mama”. Stara czy młoda, zawsze była dlań: „mama”.

— To jest fajne dziecko, na waga złota, można powiedzieć — oceniali przedsiębiorscy warszawianie — takie da się wypożyczyć na godziny i brać ładną forszę.

Kobieta z dzieckiem czuła się o wiele pewniej na ulicy. „Strajfy” policyjne jej zazwyczaj nie zaczepiały. Podczas łapanek, dziecko, nawet bez metryki, ale mówiące „mama”, starczyło nieraz za najlepszą legitymację.

Powstanie warszawskie wybuchło w chwili, gdy Ryś był w rodzonej babki na Mokotowie. Ale rodzona babka była kurierką przy Komendzie Głównej A. K. w Śródmieściu. Marta mogła tylko modlić się. Przedostać nie mógł się nikt.

\*\*\*

Marta znalazła się w Krakowie i tam mówiła do Pawła: „Widzisz, gdyby Ryś był z nami...” Albo podejmowała na Plantach wyjątkowo duży, rozpęknięty z zielonej obwódki owoc kasztana: „Schowam go dla Rysia...”

Do Krakowa spływał powoli tłum warszawskich rozbitków. Co dzień czarna giełda w przedsionkach banków na Ryngu kłamała spadek dolara. Spadało złoto i brylanty. Kto nie miał nic, przyzłotał głodem, sprzedawał. Podaż. Babka Rysia przywoziła z powstania Krzyż Walecznych, wszy i kilka swetrów pod lemnym paltem. Ale nie przywoziła Rysia.

Boże, Boże!

O tym, żeby Paweł miał w tym czasie liczyć na obiad w domu, czy pocerowane skarpetki, nie mogło być mowy. Mowa mogła być tylko o Rysiu.

\*\*\*

Odnalazł się. Główkę miał ogoloną. Twarz biała, postarzała. Oczy niebieskie zapadłe i był bardzo posłuszny. Ubrankiem wytarte, splamione. Trzewiki nie czyszczone od 1 sierpnia 1944 roku.

— Ona go biła! — załamano ręce Marta.

Stara służąca najbliższego od Mokotowa krewniaka, Antoniowa, wyprowadziła Rysia na szósty dzień powstania i ciągnęła rowem, później pomiędzy parkany, ruiny. Ryś chciał ciągnąć z sobą drewniany tramwaj, więc go zbiła. Znalazł się na wsi, pod Skierniewicami u chłopów, jej krewnych. Główkę mu ogolili, żeby nie nabral wszy.

— Rysiu, Rysiu! — biadała Marta, kłęcząc przed nim i ściągając zeń brudne lachmany. — A powiedz, gdzie twój Miś, którego dostałeś od „mamy Florki”? — Zabity — odpowiada Ryś spokojnie, rzeczowo.

— No i czego płaczesz? — pyta Paweł Martę, nachylając się nad jej drgającymi w tłumionym łkaniu ramionami.

— Ach, Rysiu, Rysiu! — płacze Marta. — Wyjedźmy stąd. Pojedźmy daleko, daleko, do Anglii, do twojego dziadunia. Chcesz jechać do dziadka? — Ryś pojęcia nie ma ani, co to jest dziadek, ani, co to jest Anglia. Zaczyna się bawić szpilką we włosach Marty. — Pojedźmy koleją, puf-puf! Lubisz jeździć koleją?

— Lubię.

— Ach, jak się dziadek ucieszy! — dorzuca Maria, klaszcząc w dłonie, żeby Rysia rozweselić.

— Już go widzę, jak się z tego powodu zachłystuje radością... — pomrukuje zjadliwie Paweł.

— Obie kobiety patrz na Pawła z pogardą. Pogarda przez łzy.

\*\*\*

— No, co tam nowego na mieście? — Takie było codzienne pytanie tych, co później wstawali. — Łapanki są?

— Spokojnie. — Albo: — Niech pani nie chodzi ulicą Franciszkańską.

Z ulicą Franciszkańską zawsze był kłopot. Tuż obok pałacu metropolity księcia Sapiehy mieściła się główna komenda policji niemieckiej. Często z lenistwa nie fatygowała się ona wychodzić na miasto z większymi obławami. Po prostu robiła łapankę przed bramą i kto siedzi, kto jechał tramwajem (2, 8, 5), wysadzano wszystkich, spędzano do tej bramy i tam poddawano rewizji.

— Ale Marta chodziła po mieście z podniesioną głową. Prowadziła Rysia. Czasem przyjeżdżała Maria i już w przedpokoju wołała: — Słuchaj, musisz mi pożyczyc Rysia, bo idę na...

Ryś bardzo lubił spacerować. Powrócił mu kolor, twarz się zaokrągliła, włoski odrosły. Dostał nowe buciki. W Sukienicach kupiono mu konia na biegunach i samochód. Znowu był dzieckiem. Gdy bomba sowiecka trafiła w Planty u wylotu Szewskiej, bawił się w leju kasztanami, wywożąc je stamtąd własnym autem.

\*\*\*

Pogoda trzymała tak długo, jak tylko mogła. Dłużej widocznie nie mogła. Musiała wypuścić deszcz, uczynić pluchot na ulicy, ustąpić wreszcie miejsca przy-mrozkom. Liście opadły. Łatwiej było teraz dostrzec wiewiórkę na Plantach, ale trudniej wyprowadzać Rysia na deszcz. Ożyły stare plany ucieczki. Z Rysiem naturalnie.

— Czy ty sobie wyobrażasz przedzieranie się na stronę aliantów w towarzystwie Rysia? — pytał Paweł.



Rys. Krystyna Domańska

— Wyobrażam bardzo dobrze. Po prostu każdy wie, że kobiecie z dzieckiem jest wszędzie łatwiej się przedostać. Zresztą Ryś pojedzie do swojego dziadka, gdzie na niczym nie będzie mu zbywać. Rysiaczku, chcesz jechać do dziadzia?

Ryś w tej chwili leżał z głową pod szafą i zabawiał się kurzem. Na pytania, czy chce jechać do dziadka, czy nie chce? — odpowiadał raz „tak”, raz „nie”, zależnie od myśli postronnych, jakie w danym momencie przeliczały mu głowę, a w których „dziadek w Londynie” nie miał oczywiście żadnego udziału.

\*\*\*

Czy mógł istnieć jakiś związek przyczynowy pomiędzy wyjazdem Rysia do Zakopanego i przełamaniem frontu pod Baranowem? Bo Ryś wyjechał na tydzień wcześniej, korzystając ze „wspadniętej okazji” zaproszenia, jakie otrzymał od znajomych. A wymala jego babka od marszałek Rokoszkuczone, by sowiecki marszałek uzależniał sowki mógł w czymkolwiek uzależniać dyspozycje strategiczne od miejsca pobytu Rysia. Wszystko zatem było dziełem przypadku, jak wiele rzeczy w tej wojnie. Wprawdzie Paweł twierdził, w pierwszych dniach po wyjeździe Rysia, że w pokoju można wreszcie poruszać

się swobodnie, w rzeczywistości jednak w pokoju nastąpiła pustka.

W sobotę wieczorem padał deszcz z śniegiem. Lokator z korytarza, otrzępując kapelusz, podzielił się treścią komunikatu niemieckiego nadanego o szóstej wieczorem. W niedzielę nadeszły już wiadomości bezpośrednie. A następnego dnia wypadki potoczyły się z szybkością, zapierającą dech w piersiach. Powiadano, że czołgi sowieckie wkroczyły do Łodzi — Litzmannstadtu, gdy Gestapowcy siedzieli jeszcze w kawiarniach. Lokator z innych drzwi korytarza wrócił z Częstochowy na rowerze. Bolszewicy wpadli na dworzec w chwili, gdy odjeżdżał normalny pociąg osobowy. Ale Marta, której ambicją było od roku 1939 nie pozostanie po raz drugi „obywatelką wolnej rodziny narodów Związku Radzieckiego”, nie mogła rozstać się ani z Rysiem, ani z myślą o nim. Czekała.

\*\*\*

Kraków, żegnał ją wilgotnym, mglistym mrozem, grzęznącymi w śniegu obcasami, rankiem okropnie nie przespanej nocy. Wysokim, przejmującym dyszkanem dzwoniły w niebie maszyny sowieckie. Straszliwie potężnał ku dołowi wizz spadającej bomby. Pogruchołany dworzec palił się jednym bokiem. Leżał bez szyby, patrzając bezradnie na dziury przed pojazdem. Olejarnia „Spotem” w ulicy Zacisze dymiała czarno, dym kłębił się nad miastem zwajami.

Marta zdecydowała się przekroczyć most na Wiśle, gdy od Krowoderskiej, Długiej i Alei Trzech Wieszczów dochodziły już: „ta-ta-ta-ta” ciężkiej i „prrr” lekkiej broni maszynowej.

Jedna tylko droga pozostała do Rzymu... Ta na Kalwarię. Po prawej stronie było słychać toczącą się bitwę czołgów. Po lewej stronie było słychać toczącą się bitwę czołgów. Środkiem szła zszosa, po której w cztery rzędy maszerowały auta ciężarowe i osobowe, wozy, kuchnie, konie chłopskie taborów ukraińskich, konie wojskowych taborów niemieckich, ludzie piesi. Wszystko to zmasowane, klnące i buksujące w śniegu.

Góra co chwila: „Flitegeer”. — I tłum biegł w boki, pod domy, do rowów. Wtedy to Marta, idąc piechotą obok Pawła, powiedziała po raz pierwszy: „Wiesz, może to i szczęście, że nie ma tu Rysia”.

Po następnej nie przespanej nocy, nastąpił dzień jaśniejszy. Na lewo garbiła się droga do Lanckorony. Przez świerki przydrożne padało słońce. Śnieg leżał skrzęty w dolinach, serpentyny wily się nad stokami, obłoki szły serpentynami.

— Jak tu ładnie. Ach, gdyby Ryś siedział teraz z nami. — A gdy Paweł, milcząc porzucił walizkę z prawego na lewe ramię, Marta dodała: „Możnaby go ostatecznie ciągnąć na saneczkach. Czy sądzisz, że dostaniemy się do Zakopanego?”

Oczywiście nie mogło już być o tym mowy.

\*\*\*

Piekło poczekalni stacyjnych! Kto ciebie nie przeżył w dwóch wojnach światowych!... Piąta noc nie przespana i wielki tłum w odwrocie. Nie ma gdzie siedzieć, nie można leżeć nawet na podłodze. Ledwo, że jest gdzie stać. Stać bez oparcia. Na dworcu w Boguminie jest wewnątrz za gorąco, za duszno, za smrodliwie. Na zewnątrz upiornie — za

zimno. Nie ma przejścia ani do bufetu, ani do ustępu. Niemcy, „Volksdeutsche”, Ukraińcy, Polacy, Czesi, Rosjanie, Słowacy, Oddziały Własowa i jeńcy bolszewicy, SS-mani, kobiety, psy, dzieci, żołnierze węgierscy, tłumoki, bagaże. Wrzask żandarmów, ochryply, gardłowo-przerzający swą brutalnością, płacz niemowląt, śpiew pijanych. Jest tylko ta korzyść, że nikt nie sprawdza przepustek, dokumentów, ani biletów. Pomieszaly się wejścia „Nur fuer Deutsche” z tymi — dla narodów podbitych.

Wiatr tego piekła dmie przez perony ścinającym krew mrozem. I nagle w jego podmuch wpada długie wycie i opada, wyje i opada, wyje i opada w odstępach równych. Syreny. Wielki alarm!

Fliegeeeeer! Alarm! Gott!... Ty kuda, Sierioża! Stasiu, Staaasiu! Mutti!... Tlum faluje i charczy. Słychać jak pies szczeka i słychać wyraźnie, coraz wyraźniej: wrrr-wrrr-wrrr... Hans, Haaans!

I oto na chwilę, ponad wszystko silniejszy, jak ostatnie działo na zdobytym paniku szanču, wzbija się okrzyk żandarma ze wściekłego, rozdartego zda się na dwoje gardła: „Ruheee!” Ale w sekundy ciszy, które nastąpiły, wpada tym groźniej, bezpośredniej, już prawie nad

głową: wrrrr-wrrrr-wrrrr — oładowany lot bombowców.

— Chryste — szepce Marta — co za szczęście, że nie ma z nami Rysia.

\*\*\*

Siedemnaście fal bombowców zniosło Bolzano po włoskiej stronie — w drobny mak. Nigdzie już nie ma kolei, ani mostów. W Trento, Rovereto, Weronie, Brescji, wzdłuż jeziora di Garda. Bomby, bomby, bomby. Alamy, naloty, ricovery, plpo, noc i dzień, dzień i noc. Stalowa maszynaria frontu niemieckiego obraca się na wolach. Zamiera, umiera, ginie...

Pierwszego dnia zasiada już Marta do pisania obiecanego listu do Londynu. Namyśla się jakby było lepiej. Pisze zawiłe, usiłuje przybrać formę literacką, zaczyna nieomal od urodzenia Rysia:

„...za miesiąc Ryś skończy cztery lata. Został w kraju i doprawdy nie wiem, ani gdzie jest, ani co się z nim dzieje. Błogosławieństwo zatroskanych dni. Kładę się spać i nawet mi się nie śni dziecko, które tak bardzo kochałam. Tylko gdy biorę do rąk pomarańczę, przypomina mi się, że Ryszard nigdy nie jadł pomarańczy. Pomarańcza waży

w dłoni jak piłka, ma smak i zapach dzieciństwa, ale nie zapach, lecz kolor jest pomostem. Dlatego nie wacham wilgotnej skórki, a wycinam słoneczny kwiat naszego dalekiego ogródka — pomarańczową nagietkę.

Ryś jest taki śliczny i taki mądry.

— Pokaż coś tam napisana? — wyciąga rękę Paweł, a potem czyta i odkłada z niechęcią. — Kogo to będzie interesować, co za bzdury...

— Jak to bzdury! — wyrwa mu Marta papier z ręki. — Chyba nie powiesz, że Ryś nie jest najrozumniejszym dzieckiem na świecie? Ja wcale nie chcę przesadzać, ale on naprawdę jest...

\*\*\*

Minęły tygodnie. Minęły miesiące. Dziadek z Londynu ani słowem nie zareagował na historię Rysia.

— No, powiedz, co byś z tym dzieckiem tu robiła? — przypomniał sobie w któryś z „cięższych” dni Paweł.

— W tym miesiącu UNRRA wydaje kakao — mija go odpowiedź Marty. — Ryś nigdy nie pił kakao.

Barbara Toporska

## WIERSZE Z OBOZU W RAVENSBRUECK

### CHWILA ŻALU

I tylko żal mym ręką,  
I tylko żal mym oczom —  
Więc już cię nie zobaczę?  
Więc już cię nie otoczę?

Tak bardzo do mnie tęsknisz,  
Tak długo na mnie czekasz —  
Czy wiesz, że ja umieram?  
Czy czujesz to z daleka?

Tak bardzo żal mym oczom,  
Tak bardzo żal mym dłoniom —  
Gdyby choć tamte drzewa  
Szumiały moim skroniom,

Gdyby choć tamte niebo,  
Jesienne niebo blade  
Patrzyło w przerażeniu  
Na ból mój i upadek!

Gdyby choć tamta ziemia,  
— Zagony ukochane —  
Przyjęła i objęła  
Ciało rozkrzyżowane.

### JASTRZĄB

Na rozjaśnionym niebie  
Wśród ciszy zamyślonej  
Jastrząb nad nami krąży —  
Skrzydła i dziób i szpony.  
Rozpogodzony błękit,  
Bezchmurny, czysty dzień  
Przekreśla i zamęca  
Skrzydła napiętych cięń.

Powiedz mi, co ty widzisz?  
Myśl jaką masz na czole?  
Czemu mówimy szepcąc?  
Czyżby to moja kolej?  
Powiedz mi, czemu bledniesz?  
Czemu ci ręka drży?  
One się przecież śmiały  
Kiedy za bramę szły...

Powiedz mi, o czym myślisz?  
W jaką się przepaść grązysz?  
Ten ptak tu gdzieś kotuje...  
Ten ptak gdzieś tutaj krąży...  
Twarz twoją nieruchomą  
Cień czarnych skrzydeł ćmi...  
Dziś one — a kto jutro?  
Ja może... może ty...

### CZTEREM SIOSTROM

(Cabanównom i Poborcównom ze Spaty,  
rozstrzelanym 2 października 1942 r.)

Wieczór już się różowi — nasz wieczór dziewiczy —  
Siostry, ręce podajcie i spójrzcie — jak cudnie!  
Ale płakać nie wolno, bo Pan Bóg trzy liczy,  
I żalować nie wolno, bo z żalem jest trudniej...

W taki dzień trzeba było ubrać nam się godnie  
W suknie długie do ziemi — biały strój godowy,  
I warkocze rozpuścić na plecach swobodnie  
I do ręki wziąć bukiet kwiatów kolorowych.

A my tak bardzo szare... Siostry, dajcie dłonie!  
Nas stroić będzie słońce, gdy nisko się zsunie  
I głowy nasze w złotej rozbitym koronie  
I suknie nasze w złotej przemienią się łunie —

A wiatr, co oddech wstrzyma wśród kwiatów i liści,  
(Jakie liście już złote — wnet umrą i one...)  
Powstanie i zawieje w poszumie i świcie  
I do piersi nam przypnie po różę czerwonej...

Zofia Górńska

## W SKARBCE BAZYLIKI ŚW. PIOTRA

(Dalmatyka Karola Wielkiego. — Krzyż Justyna II. — Monstrancja mediolańska a luborzycka. — Antonio Gentili i Benvenuto Cellini)

Początki skarbcza sięgają czasów Konstantyna Wielkiego. Nieoceniona Księga Papieży podaje długą listę darów cesarza, który na Forum Trajana wśród radosnych okrzyków ludu i ponurego milczenia senatorów oświadczył, że przyjmuje wiarę Chrystusa. Po zwycięstwie Konstantyna, skoro nastąpiła tak zwana epoka pokoju Kościoła, papież, dygnitarze kościelni i możnowładcy hołną dłonią ofiarowali do skarbcza szaty kościelne, arcydzieła złotnicze, rzeźby z kości, drogocenne kamienie i iluminowane rękopisy, mozaiki, przedmioty kultu.

Dziejopisarz kościoła Pietro Mallio, opisując bazylikę watykańską za czasów papieża Aleksandra III, podaje, że pielgrzymi z różnych krajów, przybywając do Rzymu, ofiarowują szaty święte i cenne ornaty papieżowi, dając czwartą część darów kanonikom bazyliki. Z powyższych słów wynika, że w owych odległych czasach skarb papieski był oddzielony od skarbcza bazyliki św. Piotra. Podział ten utrzymywano skrupulatnie tak dalece, iż gdy Stolica Apostolska przeniosła się do Awignonu, skarb papieski zabrano z sobą do Francji, skarbiec zaś św. Piotra pozostał w Rzymie.

W opuszczonych dzielnicach krążyli złoczyńcy, szukający żeru dla siebie. Choć kapituła bazyliki czyniła, co było w jej mocy, aby zabezpieczyć od zagłady bezcenne skarby, z dnia na dzień oczekiwano wtargnięcia zuchwałych bandytów do skarbcza św. Piotra.

W roku 1413 neapolitańczycy znów zawładnęli stolicą świata, łupiąc i bezczeszcząc wszystko z dziką i zuchwałą pasją; motłoch wojenny, przyzwyczajony do okrucieństw i rabunku, splądrował całkowicie zakrytą św. Piotra, a kościół zamienił na stajnię dla kawalerii najeźdźców.

Po powrocie papieża do Rzymu, rozpoczęła się odbudowa skarbcza. Papież Marcin V szczególnie odznaczał się w tym względzie gorliwością i natychmiast po swoim triumfalnym wjeździe do Watykanu obdarzył skarb złotą różą, a dziesięć lat później w 1430 roku kardynał Gennero Orsini zapisał wielki legat skarbowi w postaci klejnotów i pieniędzy. Jednakże po wyjeździe Eugeniusza IV do Florencji mnóstwo skarbow zginęło wśród burz dziejowych, jakie szalały nad wiecznym miastem.

Zwiedzając skarbiec bazyliki watykańskiej, odszukujemy wśród cennych tkanin niezmiernie ciekawą dalmatykę, której tradycja nadała miano Karola Wielkiego. Za watek służy tu gładka, jedwabna tkanina zwana w wiekach średnich purpura imperialis. Na obu połowach dalmatyki unoczniają się sceny religijne. Na przedniej części wyobrażone jest „Przemienienie Pańskie”, na plecach „Sąd Ostateczny”.

W złotym kole czyli aureoli hafciarz umieścił Chrystusa na tarczy, jako sądziego żywych i umarłych, otoczonego niebieskich apostołów i świętych, swych oparte na kołach ognistych ze skrzyd-

łami, wyobrażającymi trony anielskie. W lewej ręce trzyma księgę Żywota, a prawą wyciągnął ruchem błogosławiącym. Na czterech rogach widać godła Ewangelistów. Po prawej stronie stoi Matka Boska, ma ręce do modlitwy wyciągnięte i do Syna zwraca swe prośby, a nieco niżej stoi — Ewa.

Na drugiej połowie dalmatyki w „Przemienieniu Pańskim” widzimy Chrystusa z Mojżeszem i Eliaszem. Z jednej strony wstępuje On na górę Tabor, a z drugiej wraca, rozmawiając z apostołami (po skończonym widzeniu.

Niepodobna rozstrzygnąć, czy obrazy na dalmatyce są własnymi kompozycjami artysty-hafciarza. Podobne ujęcie „Przemienienia” znajdujemy w słynnym Ewangeliarzu z XII w., przechowywanym w Bibliotece dwirion. Otóż fakt ten nasuwa przypuszczenie, że artysta tematy i sposób ich przedstawienia w iluminowanych rękopisach studiował i był pod wpływem miniaturzystów. Na dolnej części dalmatyki są wyhaftowani uczniowie Chrystusowi w rozmaitych pozach, Piotr wskazuje na Mistrza palcem, Jakub olśniony bijącą z góry jasnością przysłania wzrok, pośrodku stojący Jan, lęku pełen, schyla twarz ku ziemi, jakby broniąc się przed naciskiem promieniejącej postaci Zbawiciela. Podziwiamy, jak szlachetny jest układ każdej figury, jaka różnorodność w charakterystyce głów, jak wyraziste jest każde oblicze, jak ono znakomicie maluje to wrazenie, które mu najlepiej i najtrafniej przypada. Chrystus jest odziany w rzymskie szaty, w lewej ręce trzyma volumen. Głowę otacza aureola w kształcie czworokątym. Promienie wybiegające w sześciu kierunkach z aureoli są godłami światła.

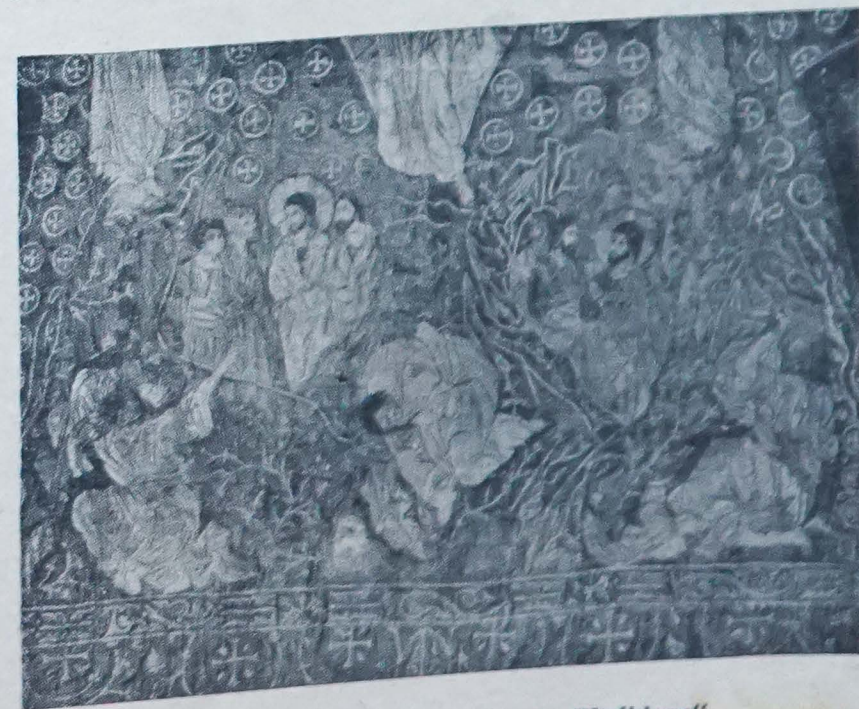
Na rękawach dalmatyki widzimy Jezusa rozdającego uczniom swoim Komunię świętą pod dwiema postaciami: na lewym ramieniu pod postacią chle-

ba, a na prawym pod postacią wina. Odczytujemy słowa jakże Chrystus wypowiedział na ostatniej wieczerzy: „Bierzcie i jedzcie”. „Pijcie z tego wszyscy”. Zbawiciel nie siedzi przy Wieczerzy Pańskiej wśród apostołów, lecz stoi w chwili rozdzielania pokarmów eucharystycznych. Spotykamy podobne ujęcie kompozycji w Ewangeliarzu greckim zachowanym w Bibliotece Narodowej w Paryżu.

Haft dalmatyki jest płaski, jednakże bardzo urozmaicony. Za materiał służy niekręcony jedwab, złote i srebrne nici, części karnacyjne, wzory zdobnicze i stroje niektórych postaci wykonano jedwabiem, większa część ubiorów i pozostały ornament — przędzą metaliczną. Włosy, karnację oddał hafciarz ścięciem rozłupanym, a złotą i srebrną przędzę położył na podwleczeniu uprzednio wykonanym z dosyć grubych nici.

Dzięki umiejętnemu rozłożeniu treści, wytworności rysunku oraz świetności hafciarskiego wykończenia wartość artystyczna dalmatyki jest niezrównana. Trudno wyobrazić sobie doprawdy więcej naiwnej, szczerzej prostoty i szlachetności stylu zarazem. Po prostu podziw bierze, gdy się widzi, jak zreżymie środkami dla osiągnięcia efektów pięknych, jak umie potęgować siłę tonów barwnych.

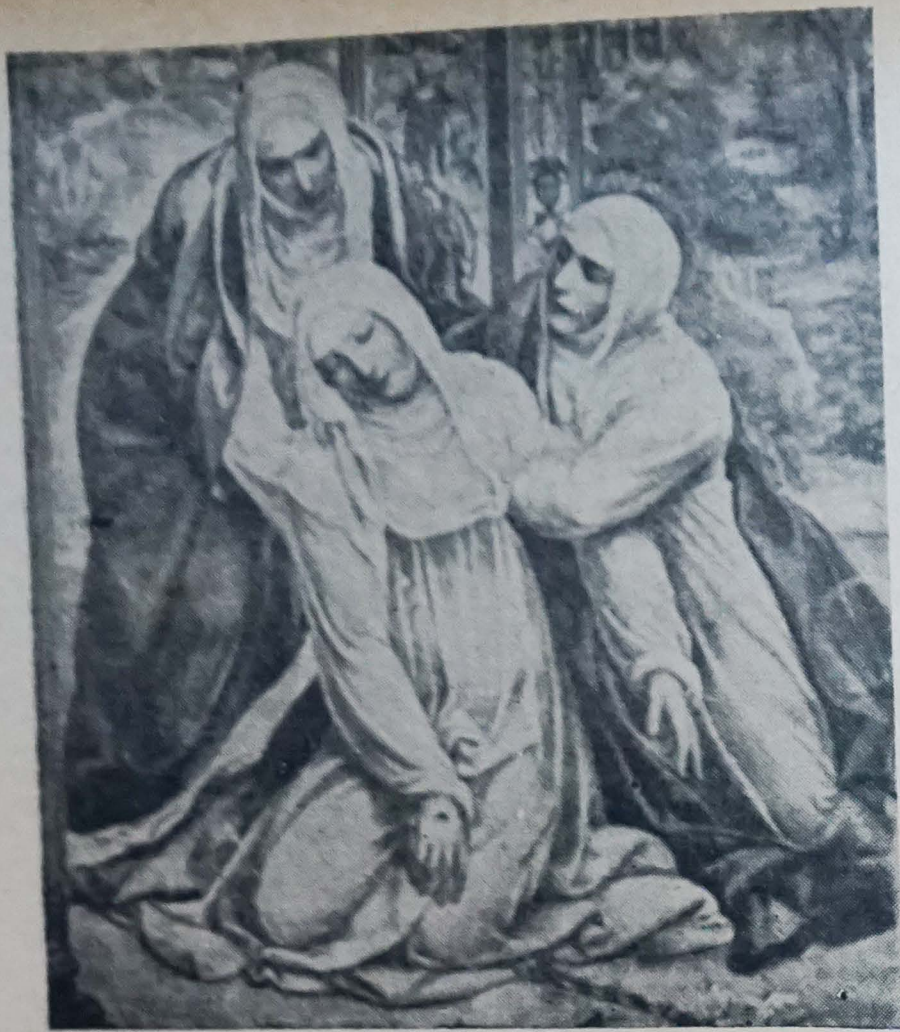
Owa prastara szata nosi jeszcze miano wielkiego cesarza, choć już dawno ustalono, iż nie miała nie wspólne z Karolem Wielkim. Dalmatykę cesarską wspomina inwentarz, poczynawszy od drugiej połowy XV w. i znajdujemy ją dokładnie opisaną w spisie z roku 1489. Wobec zupełnego braku danych, które ułatwiałyby datowanie dalmatyki, nie ma między badaczami ostatecznej zgody co do czasu jej powstania. Jedni uczeni sądzą, iż



Fragment „dalmatyki Karola Wielkiego”







Fresk pędzla Sodomy w kościele S. Domenico: św. Katarzyna popada w omdlenie po otrzymaniu stygmatów

— wówczas postanowiła Katarzyna udać się w towarzystwie mnichów i świętych rycerzy do Avignonu. Jej wymowa „słodka i odważna”, jej przekonanie, że mówi z boskiego natchnienia, uczyniły na Grzegorza ogromne wrażenie. Był już skłonny ulec jej namowom, ale kilku dygnitarzy kościelnych i świętych powstrzymało go od tego. Wszczęli nawet akcję przeciw Katarzynie, godząc na jej życie. Zamierzano ją otruć. Podczas gdy zatopiona w modlitwie, leżała krzyżem w kościele, wbito jej w pięte za-

trutą szpilkę. Katarzyna nie uległa jednak zatruciu, co stało się dowodem jej świętości i pomogło w spełnieniu zadania. Papież począł wierzyć w boskie posłannictwo mniszki. Jej silna wola i niezłomność podporządkowały sobie słabego i wahającego się Grzegorza. Zgodził się na powrót do Rzymu. Nastąpiło to potajemnie. Po uroczystym wjeździe do wiecznego miasta, na czas jakiś wroście tywioty uspokoiły się. Wnet jednak nieprzyjazne nastroje przeciw papieżowi

znowu doszły do głosu. Dzięki mądrym radom Katarzyny, która sprzeciwiała się orężnemu poskramianiu buntu, dzięki jej osobistej interwencji u przewodców ludu — spokój został przywrócony. Układy z Rzymem i Bologną zawarto, a jedynie jeszcze Florencja trwała w uporze, grożąc odłączeniem się od Kościoła. I tu gotowa była pomóc Katarzyna, ale miasto nie chciało wybaczyć papieżowi jego poprzednich okrucieństw.

Po rychłej śmierci Grzegorza XI, papież Urban VI z powodu oporu kardynałów francuskich, którzy obrali innego papieża — nie mógł przez jakiś czas objąć władzy. Dyplomatycznym zabiegiem Katarzyny, osiadłej już na stałe w Rzymie, udało się pokonać przeciwników Urbana VI. Katarzyna stała się głównym doradcą papieża w najtrudniejszych sprawach. Zdarzyło się tak, że niesforny lud rzymski, podżegany przez przeciwników papieża, ruszył do Watykanu z zamiarem zamordowania Ojca św. Wtedy papież za radą Katarzyny włożył szaty pontyfikalne i usiadł na tronie, nakazując otworzyć bramy, przez które wtargnęła tłuszcza. „Kogo szukacie?” — zapytał rozwścieczonych. Na widok papieża oraz mniszki, która przemówiła do tłumu łagodnie choć karząc — tłum cofnął się i opuścił Watykan.

Katarzyna użyła teraz całej energii na pogodzenie Urbana VI ze światem chrześcijańskim. Słała dziesiątki listów dziennie do królów, kardynałów, dyplomatów. Praca ta — uwieczniona powodzeniem — niszczyła jednak wątły organizm mniszki. 30. stycznia 1380 roku napisała ostatni list do papieża Urbana: „Życie moje niknie i zamieram marnie z boleści, nie mogąc umrzeć... Nie mam już cierpliwości do życia — pragnę tylko śmierci”. Zmarła w Rzymie 29. czerwca 1380 r. Ciało pochowano w Rzymie w kościele Santa Maria sopra Minerva, gdzie jej szczątki spoczywają w wielkim odtarzu. Głowę odesłano do Sieny i tu w uroczystej procesji złożono ją w kościele San Domenico. Kanonizacja Katarzyny odbyła się w 1461 r. za papieża Piusa II, który również pochodził z Sieny.

Maria Męcińska

## STRUMIEŃ PROZY

Biblioteka „Orla Białego”, która w swoim czasie specjalizowała się prawie wyłącznie w wydawnictwach politycznych i poetyckich, wystąpiła ostatnio z całym szeregiem utworów prozy powieściowej. Tak się również złożyło, że na przykładzie kilku z nich nie trudno będzie czytelnikowi zorientować się w paru zasadniczych odmianach sztuki powieściopisarstwa. Wówczas może dostrzec, że choć w dziedzinie prozy trudno mówić o takiej ilości „skąd” i „kierunków” jak w malarstwie lub poezji, to jednak i tu istnieje pewne zasadnicze linie podziału, które rozgraniczają od siebie wyraźnie nie tyle różne sposoby pisania, ile odmienne spojrzenia na człowieka w akcji.

Gdyż to właśnie jest, w moim przekonaniu, główna i najważniejsza zdobycz powieści: doznaczenie do ukazania ludzkiego działania nie w jego

aspekcie praktycznym, ale w stawianiu się moralnym i psychologicznym. Czyli, mówiąc krócej, zwycięstwo fenomenu nad faktem. Fakty mają zawsze swoje „przed” i „po”, swoje racje i skutki swoich twórców i ofiary — i ćwiczenie się w ich opowaniu, w naginaniu ich do własnej woli nazywa się popularnie „sztuką życia”. Ale prawdziwego prozaika bardziej od sztuki życia interesuje szeroko pojęte życie sztuki. Toteż zaczyna on dostrzegać fakty dopiero w pewnej poświacie niepowtarzalności, w wysiłku wyłamania się z ustalonego i potocznego nurtu rzeczy, w tym co czyni je pierwszymi i ostatnimi w nieprzerwanym łańcuchu ludzkich przeobrażeń.

Powieść przeto nie zajmuje się w tak silnym stopniu konfliktami tragicznymi. Poczucie tragiczności, w którym czujemy, że coś musi się stać,

choć uczynki wszystkich bohaterów zmierzają do uchylecia surowego wyroku losu, jest powieści tak obce jak sama zasada tragedii, ukazująca ludzkie działanie jako wysiłek, zdążający do wymierzenia najwyższej sprawiedliwości prawom życia, które są silniejsze od żyjących.

W tym sensie możnaby powiedzieć, że powieści i nowele Conrada są nie jako odwróconymi tragediami greckimi.

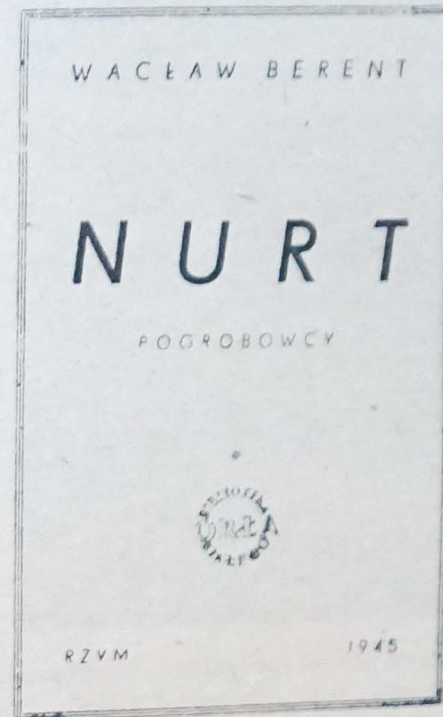
Los, z którym pasują się jego bohaterzy jest tajemniczy i potężny. Życie, w którym biora udział — nieodgadnione i zaborcze. Ale wyrok tragiczny rozplatający węzły niepojętych sprzeczności i nieuchwytnych sił, pochających człowieka na spotkanie przeznaczenia — w nim samym jest wypisany, a nie w abstrakcyjnym świecie niezachwianych praw i nieprzekraczalnych granic. Można jak bohater „Tajfuna” raz tyl-

ko stawie czoło największej burzy swego życia, może przekroczywszy „smugę cienia”, dzielacza awanturniczą „młodość od spokojnej dojrzałości, porzucić na zawsze myśl o buncie przeciwko okrutnemu losowi, ale zawsze, choćby na krótko, zapragnie poznać największy jego smak, smak panowania nad życiem, któremu musimy wkońcu ulec. Ludzie Conrada zajmują się uporeczywie poszukiwaniem tej chwili. Wiedzą bowiem dobrze, że tragizm życia polega nie na bezsilności wobec przeznaczenia, ale na ciągłej czynnej możliwości nienatrafienia na ów „wielki dzień”, który się nigdy nie powtarza.

Człowiek zwycięża, gdy ma okazję walki. Przegrzywa dopiero wówczas, gdy los, któremu przez całe swoje życie pragnie wyjść naprzeciw, omija go kapryśnie. Toteż istnieje jakaś pozorna nie logiczność w tym wszystkim, co robią bohaterzy Conrada. Istotnie Mac-Whirr mógłby wymknąć się ze śmiertelnego uścisku tajfunu bez walki, balansując ostrożnie w myśl zasad sztuki żeglarskiej. Młody kapitan ze „Smugi cienia” mógłby podobnie uniknąć męczarni bezwietrznego wyscigu ze śmiercią, przekładając zdrowy rozsądek nad dumne ryzyko pierwszego w życiu dowództwa. Ale obaj bez słowa, z zapartym tchem przyjmują to jedyne wyzwanie losu, gdyż w nim tkwi nadzieja zwycięstwa i niepowtarzalnego bohaterstwa. Po conradowsku ujęte życie jest niby ciemna, burzliwa noc, która raz tylko rozdziera gwałtowna błyskawica. W jej świetle oglądamy w całej pełni ludzką wielkość, na którą składają się nieraz lata codziennych ćwiczeń, trudów i prób. „Nie mógł poświęcić swego zamysłu, długoletniego zamysłu, celu swego życia: nie mógł rozstać się z nim i żyć dalej, tak jak nie mógł wyciąć sobie serca i nie umrzeć. Ten miłośnik przygód nie mógł się wyrzec swej przygody, która — w jego własnym przekonaniu — uczyniła go wszystkim czym był” — powiada Conrad o kapitanie Lingardzie z „Ocalenia”. Mogłby w ten sam sposób powiedzieć o obu bohaterach omawianych tu opowiadań.



Chciałbym aby czytelnicy Conrada, ci oczywiście, którzy czują że mogliby się stać jego miłośnikami, pokuśli się, idąc po tej drodze, o znalezienie klucza do tego swoistego humanizmu. Conrad wierzy i pragnie, abyśmy i my uwierzyli, że prawa, które rządzą światem, są tworzone przez ludzi nie drogą spekulacji i rozmyślań, ale w oparciu o ich codzienne, wytrwałe i odważne zmaganie się z losem. Tylko tyle udaje się nam wyrwać osłoniętemu tajemnicą przeznaczeniu, ile potrafimy zamknąć na zawsze we własnym, uporeczywie budowanym życiu. Tylko tyle wart jest nasz charakter, ile potrafimy własnym męstwem zapłacić za



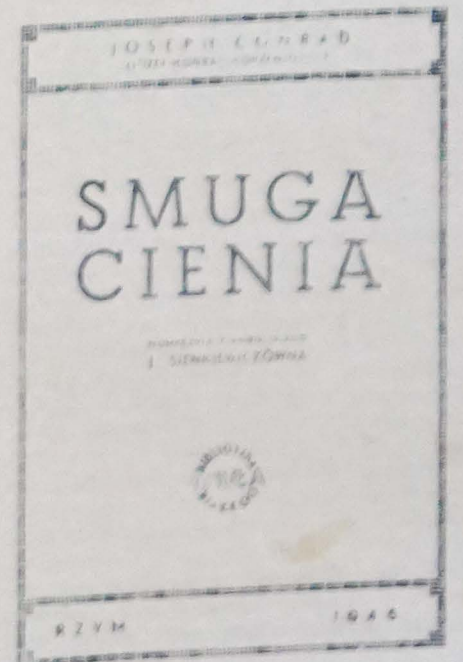
jego żywy kształt. Toteż na pokładach dalekich okrętów, wśród milczących ludzi rzuconych na skraj świata, zawisuje się jakaś niewyraźna kolumna walki o najwyższą godność jaką ma zwykły człowiek: o prawo do pełnego uczestnictwa w zwycięstwie, którego okupili lub okupią setki dawnych i przyszłych porażek. Cichy, dobry i przyszyty do karku Ransome ze „Smugi cienia”, który uśmając chore serce wznosił się na szczyty najwyższego poświęcenia, opuszcza wreszcie na zawsze swój statek cudem doprowadzony do bezpiecznego portu. „Zrozumiałem — bezpiecznego portu, że ten nieczłowiek o nim Conrad — że ten nieczłowiek ma już za sobą największą część skazaniec na wszystko kocha życie i drzy przed jego utratą”. Ale Ransome ma już za sobą największą przygodę swego życia. „Muszę odejść — krzyczy — mam do tego prawo”. W tych słowach zawiera się najgłębszy sens prozy, która niby tajemnicza, z zadumy nad życiem wykreślona parabola, czyni z człowieka bohatera, a z bohatera tylko i tylko człowieka.

Porzucając narracyjną, często liryczną swobodę opowiadań conradowskich, z trudem tylko dopracować się można zrozumienia istoty wyjątkowej pracy pisarskiej Berenta. Te opowieści biograficzne, które łączy w jedną całość postaci generała Dąbrowskiego, opisują nie stać generała Dąbrowskiego, ale życie, które się staje, ale życie, które zamierza w oczekiwaniu na odkopanie. Berent nie tworzy więc postaci a tylko cierpliwie je odtwarza. Cały jego

wysiłek skupia się wokół ambicji przedumaczenia ukrytych w pospiesznych i niedbale zapiskach uczuć i myśli na bezbłędny i równo odmierzony język artystyczny. To rzeźbiarstwo pisarskie ma wyraźny cel poznawczy i jeśli o Conradzie da się powiedzieć, że tworząc bezinteresowne kreacje literackie odkrywa nieznanne pokłady duszy ludzkiej, to Berent na odwrót, rekonstruuje dawno wygasłe przeżycia i fakty odsłania powoli portret pełnego człowieka. Piękno sztuki Conrada zaczyna działać dopiero po pewnym czasie, gdy niewprawne ucho przywyknie nareszcie do melodii długich okresów opowiadania, a nieśmiała z natury rzecz wyobraźnia ujęć zdoła obrazu i zdarzenia w jeden równy i spokojnie płynący nurt. Berenta nie zrozumie nikt, kto nie potrafi smakować każdego zdania jego prozy z osobna. Nazywa on rzeczy po imieniu — chciałoby się powiedzieć — ale nazywa tak jak tego wymaga od prawdziwego artysty Flaubert pisał, że: „Posiadłszy absolutną wiarę, że istnieje tylko jedna droga do wyrażenia jednej rzeczy, jedno słowo do nazwania jej, jeden przymiotnik do określenia, jeden czasownik do ożywienia, oddaje się nadludzkiej pracy odnalezienia w każdym zdaniu tego słowa, czasownika, epitetu. W ten sposób uwierzył on w jakąś tajemniczą harmonię ekspresji i kiedy własne, ciwe słowo wydaje mu się psuć brzmienie, szuka ciągle innego z niepokonaną cierpliwością, pewien, że jeszcze nie natrafił na owo jedyne słowo... Tyś się uprzedził obiega go w tym momencie, zawsze jednak z tą rozpaczliwą pewnością, tkwiącą w jego duszy wśród wszystkich wyrażań na świecie, wśród wszystkich form i rodzajów ekspresji istnieje przecież tylko jedna — jedna forma, jeden sposób, w który wyrazić można to co chce powiedzieć”.

W strumieniu prozy zapalają się i gasną coraz to inne światła. Jedno z nich trwa przecież nieprzerwanie: poszukiwanie pełnego wyrazu pisarskiego dla zjawisk duchowych, które poezja w swym ostrym lorie zaledwie młodość potrafi skrzydłem.

Gustaw Herling-Grudziński









Dział czasopism

Jeden z działów na wystawie był poświęcony książce. Wydaje mi się, że po raz pierwszy mieliśmy możność zaznajomić się z naszym dużym dorobkiem wydawniczym. Obok wydawnictw Oddziału Kultury i Prasy 2. Korpusu, starano się zgromadzić wydawnictwa 3. Korpusu, Referatów Kultury i Prasy poszczególnych Oddziałów, Sekcji Wydawniczej Dłwa Bazy i Etapów AP. na Wschodzie, „W Drozdzie” — jednym słowem wszystko to, co w marszu do Polski żołnierze 2. Korpusu w pieśni, poezji, literaturze pięknej i wojennej, jednodniówkach i historii zostawili jako mocne ślady po sobie.

Ogółem na wystawie znalazło się przeszło 300 pozycji książek i broszur oraz czasopisma z „Orłem Białym”, „Paradą” i „Ochotniczką” na czele.

Materiał zgromadzony na wystawie nie był jednak kompletny. Na to, żeby zebrać wszystkie druki, które ukazywały się na trasie marszu 2. Korpusu, trzeba już dzisiaj wiele trudu i poszukiwań. Wątpię nawet czy wszystkie druki znajdują się w naszych archiwach. Bo przecież nie chodzi tu tylko o książki, czasopisma i broszury, ale także o mapy, plakaty, odezwy, programy etc.

Wystawa książki wzbudziła żywe zainteresowanie zarówno wśród Dowódców z Generalem Andersem na czele, jak też wśród grona oficerów, podoficerów, żołnierzy i gości. Do książek cisnęli się tłumnie wszyscy.

Na wystawie uwzględniono następujące działy: czasopisma, jednodniówki, literatura piękna, poezja, historia i inne.

Zwiedzający brali chciwie do rąk poszczególne książki, wertowali je, chcieli wiele wydawnictw nabyć — za komplet „Orła Białego” chciano ofiarować dowolną sumę, aby zdobyć go do Biblioteki Watykańskiej, chciano także nabyć „Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej”, „Dzieje Polski” Bobrzyńskiego, album inż. Ostrowskiego „Żołnierz z Monte-

casino”, „Polskim szlakiem”, „Dywizję Lwów” i wiele innych książek.

Na wystawie nie było chyba książki, czy czasopisma, którego by nie wzięto do ręki, na którymby nie zatrzymał się ciekawy wzrok zwiedzającego.

Wśród literatury pięknej, obok nowych wydawnictw jak np. Obertyńskiej „Faustyna”, Wałkowskiej „Dzieje rodziny Korzeniewskich”, Naglerowej „Ludzie sponiewierani”, Święcickiego „Czerwone diabły”, Góreckiego „Kamienie na szaniec”, znalazły się najcenniejsze utwory naszych pisarzy i poetów: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Wyspiańskiego, Sienkiewicza, Malczewskiego, Fredry, Konopnickiej, Kochanowskiego, Tetmajera, Orzeszkowej, Prusa, Reymonta, Orkana, Conrada, Berenta oraz z literatury nowszej — Rodziewiczówny, Parandowskiego, Kadena-Bandrowskiego, Nowakowskiego, Morcinka i Kossak-Szczuckiej.

Wśród poezji nie widać przedruków. Jedyne „Wolność tragiczna” Wierzyńskiego została wydana przez Oddział Kultury i Prasy 2. Korpusu. A pośród poetów jedynie Broniew-

ski znany jest czytelnikom ze swych przedwojennych wydań. Reszta to młodzi poeci, którzy na emigracji ujrzeli swe tomiki poezji: Wedow, Broncel, Sowicki, Laskowski, Czechowiczówna, Kobrzyński, Olechowski i Żywina. Poza tym kilka antologii: „Z teki sowieckiej Biskupa Polowego”, „Azja i Afryka” i „Poezja karpacka”.

Dział historii otwierała „Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej”, dalej „Historia Polski” Bobrzyńskiego, wrzesień 1939 roku — to Luźyc, Michalik, Epler, Piątkowski i Ryś; dokumenty: „Dyktat krymski”, „Polska Armia Krajowa”, „Polska pod okupacją czerwonego totalizmu”, „Od Polski murowanej do drewnianej”, „Sprawiedliwość sowiecka” Mory i Zwierniaka, „Wspomnienia starobielskie” Czapskiego (w jęz. polskim, francuskim i włoskim), „Bolszewizm i religia” Kani (w jęz. polskim i włoskim) i cały szereg innych wydawnictw jak np. „Idea dziejowa Państwa Polskiego” i „Anglia i Polska w polityce europejskiej” Szuldrzyńskiego, „Wojna sowiecko-niemiecka 1941-1945” i „O rewolucji” Wragi, „Cele wojenne Polski” Pragiera, i „Kraj bez Quislinga” Norwida. Następnie broszury. Ograniczę się tylko do wymieniania kilku: „Z doświadczeń przeszłości” Łukasiewicza, „Geopolityka, strategia, granice” Wragi, „O powołaniu naszego pokolenia” Brzozy, „Wkład Polski do drugiej wojny światowej” Piątkowskiego, „Polskie doświadczenia powstańcze” Zagończyka i „Walka o niepodległość w Kraju i na obczyźnie” Konarskiego.

Słysząc głosy, że dopiero wystawa książki pozwala ocenić nasz bogaty dorobek wydawniczy. Dlatego też należałoby piękną inicjatywę Pułku Ułanów Krechowickich podtrzymać. Zebrać w miarę możliwości wszystkie wydawnictwa i urządzić wędrowną wystawę książki. Z przyjemnością bowiem należy stwierdzić, że żołnierz nasz książki czyta i gromadzi.

Natalia Mianowska

## IZBA PRZYJĘĆ

Adriatycka strada splywa wężownicą w amfiteatr nadmorskiego miasta. Mija smutne cmentarne cyprysy i zakurzone serca bżów. Owija wygibem pozrywane mosty i kręciastą Bayley'owską kłamrą spina rzeki. Wpada na słoneczne benzyne i latem pochające przedmieście: Pinocchio. Ucieszone oko szuka na ulicy drewnianej kukielki — ożywionego chłopczyka łobuza z bajki Collodiego.

Przedmieście kończy się małą kotłownią, ochronioną przed naporem wiatru, bryzgów morskich i wrzawy. Ciężkie, sennie, kwiciste powietrze klebi się w tej terenuj niecce, jak gorące wino w wazie. Na dnie kotlinki, w powojach i różkach, w rdzy starych cegieł i patynie mchów przysiadł szpital.

Sznury wozów ciągną dniem i nocą z odcinków i gniazd przedpola. Wprost z oddziału, z wysuniętych punktów, z

szpitali polowych, z przydrożnych przychodni czy też bezpośrednio z okrwawionej katastrofą szosy — napływają ranni, napływają chorzy. Szeroki wachlarz ewakuacyjny zbiega się w węzeł na szlaku.

Szpital leczy, zmienia opatrunki, bada i prześwietla, operuje i zakłada gipsy. Segreguje. Zwraca jednostce przywróconego do zdrowia żołnierza, a chorego, który długi jeszcze czas będzie wymagał opieki i leczenia, odsyła w tył.

Uzbierane wszystkie elementy. Powiedział swoje mikroskop i Roentgen. Nabrala kształtu gorączkowa krzywa. Dojrzała synteza. Chory został zakwalifikowany do ewakuacji.

Lekarz wstawia w kratki druków ostrońnię blokowe litery. Siostra wciąga ostrońnię bieliznę na bezwładne członki. Kuliści tubyley podchodzą z noszami. Cho-

ry żołnierz jedzie na składanym wózku na zborny punkt. W przemyślny schemat lży Przyjęć.

W Izbie Przyjęć praca wre od nocy. Siwy Kazio marszczy czarne brwi w zmarzwiony węzeł nad hieroglifami diagnoz. Włacza nazwy ciężkie od bólu i krwi w kategorie, rubryki i grupy, w pasy poziome i nudne, jeśli na nie od zewnątrz tylko patrzeć, a tak niezmiernie ważne, jeśli idzie o zdrowie chorego. Każda mądrze obmyślona kratka, każde bite na maszynie słowo usuwa spod zmęczonych stóp chorego kamienie bezładu. Schemat dobry i przeprowadzony sprawnie objawia się choremu jako bieżąca taśma, która go bez wstrząsów i bez zgrzytów przenosi z łóżka na łóżko, z wozu do szpitala, ze szpitala na okręt — do ostatecznego wyleczenia. Pogarda dla „papierków”, dla „kancelarii”, niedbałe gryzmoły półalfabetów — to dla żołnierza mordercze godziny leżenia gdzieś w kurzu, w spiekocie i pragnieniu, w splątanych ogniwie zaniedbanego czy źle związanego łańcucha szlaku.

Gertruda gra na maszynie. Dzwoni szczupłymi palcami w klawisze. Składa w fiolet czcionek długi wykaz nazwisk i chorób transportu. Zamyślił się czasem nad imieniem, które budzi echa dawnych czasów, westchnie, oprze zmęczoną główkę o ramię maszyny, pociągnie nerwowo papierosa. Przegna wysiłkiem woli czyhającą tęsknotę i znów dzwoni i dzwoni w klawisze długą, smutną i trudną litanię.

Doktor czuwa nad zespołem. Ma mocno szpakowate włosy, fantastyczną suchą twarz i twarde szczęki człowieka woli. Niebieską kredą znaczy na tablicy litery i cyfry. Tłoczy życie w ramy rozdzielników jak oporną glinę. Gwałci przestrzeń i łamie czas. Układa na stole papiery w kolorowo oznaczone klocki, bije pieczęcie i skrobie podpisy. Kiedy udaje mu się dobry plan, kiedy widzi, że nałamał ludzi do posłuszeństwa dla swoich wykresów, uśmiecha się młodo. Opór czy bezład budzi w nim szydercze wątrobowe błyski. Kazałby rozstrzelać co czwartego człowieka, a równocześnie tłucze się po nocach jak duch przez korytarze i szuka formuł, kresek, mianowników, któreby zdjęły z obolałej głowy chorego żołnierza jeszcze jedną zbędną troskę.

Irenka drukuje indeks. Ma burzę włosów nad chłodną twarzą i niebieskie oczy. Sieje równiutkie rzeźbione litarki w niekończące się kolumny nazwisk. Data, cyfra, nazwisko, data, cyfra, nazwisko — jednostajny, nużący ciąg. Żywa ludzka treść szpitala zamyka się jak w sercu w tej książce. Szukają żołnierza koledzy, przyjeżdża stroskany dowódca, nadlatują listy. Błąd w indeksie, luka jednej linii, stworzy pustkę iak trumienne wieko. Zgubi się żołnierz i będzie patrzył w skrawek nieba za okienną kratą, rozżalony i sam.

Nie zgubi się. Nie będzie luki. Indeks nie zawiedzie. Nazwisko nigdy nie jest w Izbie Przyjęć beztreściwym dźwiękiem.

Irenka drukuje litarki. Objawia, wypełnia, szuka, kieruje. Oczy rozświetlają się radością tych, którzy znaleźli i zechodzą mgłą smutku zawodów. Tyle lat, tyle tomów indeksu, tyle tysięcy nazwisk — nie zszarzała praca, nie weszła

w rutynę ni w nawyk. Doświadczenie przeszło w intuicję, w niezawodną pewność odpowiedzi, w taneczny wdzięk sprawdzania. Ołbrzymia wieloletnia kartoteka jest jak rozbudowany wielki pszczelny ul, jasną, prostą, znaną do każdej komórki konstrukcją.

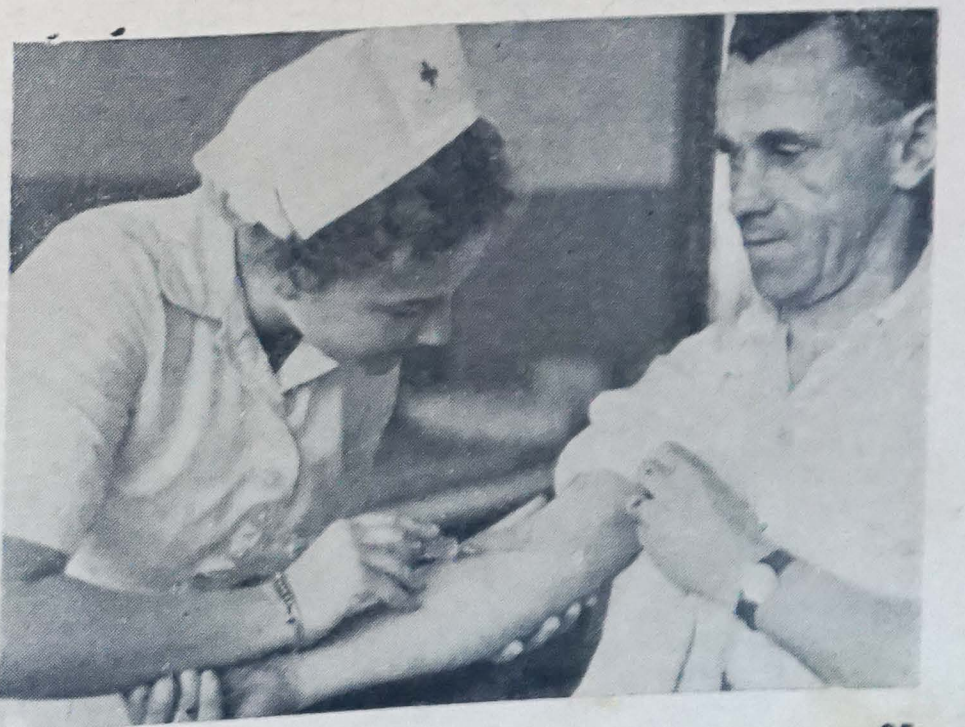
Chory leży w zieleni podwórka pod cieniem kasztanów. Zezuje ku uwiązanej do guzika koszuli koperce — w opis niedoli w przepisowych skrótach angielskich formularzy. Czarne zwoje roentgenowskich filmów towarzyszą mu w drodze — przekażą następnemu szpitalowi ustalone rozpoznanie.

Siostra Ludmiła krząta się niestrudzenie. Setki i tysiące chlebów pieczolowicie poobkładanych okrasą, upakowanych w paczuski, płyną z świetlicy Czerwonego Krzyża do wyruszających w drogę. Siostra Ludmiła karmi i poi, rozdaje papierosy i herbatę. Krzepi dobrym słowem. Uśmiechnięte oczy Siostry Miłosierdzia, która w zakonie nie szukała ucieczki przed światem, lecz wielkiej, ofiarnej pracy w służbie cierpienia i niedoli, pochylają się nad wynędzniałymi twarzami.

Magdalenka notuje. Odrzuca w tył zbiegającym ruchem bujne jasne włosy. Sprawdza. Wykreśla czerwonym ołówkiem cyfry porządkowe kolejki odjazdu. Z energią groźnego sierżanta pilnuje wsuwania chorych do sanitarnych wozów. Nie śmie się i tutaj, przez jej schemat, przekraść pomyłka czy nieład — czujny ołówek kontroluje pracę kierowców i noszowych.

Chorzy patrzą na twarz Magdalenki z uśmiechem uznania a równocześnie czułości — energia kobiety w mundurze ani trochę nie zabija płci.

Aleksander, Jaś i Kalikst zgranym tercetem regulują ruch. Podzielili swoje funkcje z zegarmistrzowską precyzją. Obliczyli nosze, koce, jaśki, bieliznę i szyny, obliczyli miejsca na krzągankach i ładowność wozów. Są wszędzie. Wprowadzają ład i spokój w hulaśliwy rój tubylczych robotników. Windują korbą chorego na noszach na górne pięterko,



ostrożnie chronią gipsowe pancerze w czasie ładowania, pilnują rzeczy i zabawnym językiem na migi instruują angielskich kierowców. Praca ich nie zna zatorów ani zaległości — w chwili, gdy ruszy ostatni wóz, Izba Przyjęć jest gotowa do następnego transportu.

Magazynierzy porządkują półki. Płynię przez ich ręce strumień worków, chlebów, walizek, skrzynek od nabołów i skórzanych torb. Jadą za żołnierzem pamiątki — zacalowane fotografie, egipskie figurki, rozczytane książki. Tyle lat wędrowki — wiezie żołnierz z sobą wszystko to, co zamyka w sobie jego dom, tęsknotę, nadzieję — ukochane, wymowne symbole...

Wozy jadą do portu. Doktor schodzi z podwórka. Rozluźnia twarde szczęki westchnieniem ulgi — ewakuacja gra myśl bezsenna wciela się w ciało.

Szeł patrzy sponad okularów w skrynkę ewidencji. Aktualizuje. Karty ubytych idą do archiwum. Nowi wypełniają puste miejsca. Raport faluje nowymi cyframi. I tylko czasem dobra pełna twarz zamyśli się przez chwilę, tkliwy uśmiech wypłynie na wargi — przyszedł list pomyślny od rodziny, gdzieś aż z Afryki — żyją, pamiętają, tęsknią...

Wacław sprawdza główną księgę. Zamyka kratkę po kratce i kartkę po kartce. Kreśli ostatni ślad ubytych — drogowską dla ludzi i spraw, które czasem jeszcze po miesiącach napłyną, może i po latach, aby po tym głazie dojść z miejsca na miejsce do kochanego żywego człowieka.

Sanitarki wjeżdżają, do portu. Białe okręty, malowane w krzyże czerwone, widoczne z daleka, otwiera się na przyjęcie chorych. Irenka konferuje po angielsku z załadowczym porucznikiem. Uzgadnia ostatnie troski.

Patrzy na okręt, na ludzi, na morze zamyślonymi oczyma, które poza kształtem konkretnym, widowym szukają na dalekich horyzontach sobie tylko znanej, tęsknionej bajki.

Seweryn Ehrlich



## MIGAWKI Z JEDNEJ KOMPANII TRANSPORTOWEJ P.S.K.

W kancelarii plutonu ruch i rwetes, jak w dobrych czasach za Żelazną Bramą. Drzwi nie domykające się z przychylny zasadniczej, bo pochodzą z innej futryny do tej nie chcą pasować, dziś nie zamykają się w ogóle. Co chwila ukazują się w nich rumiana buzia, a jej właścicielka, przybrawszy pozycję według wszelkich przepisów utrańskich, wygląda: — Panie szefie, gdzie mieszka Gaska? Ma dyspozycję o drugiej... Panie szefie, czy będzie dziś rozdzielnik? — Panie szefie, Zosi wóz nawalił i siedzi w rowie. Panie szefie...

Dalsze słowa, cała lawina pytań i mel-dunków, głuszy warkot zatrzymującego się przed kancelarią samochodu i miły głos kobiety: — „Halo, halo! Nadamy teraz walc Straussa”. — I w małej przy-frontowej miłośnicie królujecie od razu zapomniana melodia, budząc wspomnienia. Męczące szela ochotniczki — bo jestem w kancelarii plutonu transportowego P.S.K. — umilkły, groźny szef prze-

stała przeglądać książkę służby, a na „marsowym” obliczu pojawia się... uśmiech. Twarze wszystkich przybierają inny, niesłużbowy wyraz. Za powiekami mającą sylwetki pięknych strojów, jakieś zielone drzewa parku, pod którymi przejeżdża karetą. Może to wspomnienie tego właśnie walczyka rozjaśnia uśmiechem twarz młodego kaprala, który zasłuchany zatrzymał się na brzegu chodnika.

Nagła ciszę w kancelarii i uśmiech na twarzy kaprala wyczarowała drobna brunetka, zamknięta w dużym pudle na czterech kołach, które nazywa się wozem radiowym kompanii. Bo jest w nim i radio, wprawdzie wymontowane z samolotu, lecz odbijające pięknym wyglądem od dorobionej, nóżki mikrofonu i czarnego krążka kręcącej się płyty.

...A raz zdarzyło się nieszczęście, przyjechałyśmy do oddziału i aparat nawalił. Zwyczajnie nawalił. I chłopcy zaczęli robić uwagi, że pudło do niczego, że po-

winnam wozić ze dwóch mechaników, że mi pomogą. A ja się uparłam i usunęłam defekt sama. I grało. Trzeba było widzieć ich miny, kiedy im pokazałam język”. Czarne oczy młodziczej speakerki błyszczą zadowoleniem.

Z kąta kancelarii dobiega szept. Wi-docznie sprawa nagła i o doniosłej wadze. — „Szefie, jak na zabawę według rozdzielnika wysłać, czy chceś czy nie — to Halina jest dobra. A jak dziś je go imieniny, to ja mam akurat służbę”. — Szef jest wyraźnie zakłopotana. Kiedy indziej byłaby niewzruszona, ale dziś... ten walczyk... Sytuację ratuje szczęśliwy przypadek. Pisk otwieranych gwałtownie drzwi i cienki głosik: — „Mel-duję, że wszystko w porządku. Jutro mogę jechać, a czy mam dzisiaj służbę, bo jakoś dawno nie miałam”. Westchnienie ulgi z piersi szefa: — „Mo-żesz mieć dzisiaj”. — Wszystkie są zadowolone bo sprawiedliwości i poczuciu obowiązku stało się zadość. Halina w podskokach biegnie na kwatery, aby się przebrać.

A z tymi kwaterami to też było urwa-nie głowy. Mieszkało się dobrze w czy-ściutkich pokojach. Lecz przyjechali ważniejsi, a wy dziewczeczki idźcie do psich budek. I chociaż ręce cierpna od dźwiga-nia łóżek i worków, izba zyskuje szybko wygląd przytulny i miły. Nad łóżkiem już wisi koc, a na nim przybrany gałązką zieleni święty obrazek.

Wpada nagle Hanka, jak zawsze z roz-wianym włosom, bardzo zdenerwowana: — „Niech która idzie ze mną, bo ta babka tak krzyczy, że ja się boję tam mieszkać”. — Koleżanka, umiejąca bie-gle polskie wyrazy zaopatrywać we wło-skie końcówki, nie odmawia usługi tłu-maczki. Rzecz się wyjaśnia: staruszka, z którą dwie ochotniczki zajmują izbę, zachwycona jest ich przybyciem, a że jest trochę głucha, w ten sposób prze-jawia swoją radość.

Tak, warta jest ciężka i nudno nie roz-mawiać z nikim. Wartownicza, z groźnym rewolwerem przy boku, zna prze-pisy, wie, że do ludzi mówić nie wolno. Wie jednak, że przepis ten nie odnosi się do...zwierząt. Więc gaworzy z ma-łym kudłatym psikiem zawiniętym w połę służbowej kurtki.

Lecz i na warcie zdarzają się okazje do rozmowy. O godzinie dziesiątej w nocy, gdy przez garaż już nie wolno cho-dzić, zjawia się zarys człowieka: „Stój, kto idzie? — pistolet groźnie mierzy w zbliżającą się postać. „Tu pułkownik X”. „Tak jest... to jest... no... proszę, prze-nie pułkownik... wolna droga, prze-nie pułkownik... Sylwetka przechodzi, a do wartowniczkii dobiegają cichnące słowa: — „... i to ja stawać muszę na rozkaz smarkatej!”

Lecz wartownika porwa pasja, gdy stoi samotni: ze swymi myślami, a w okien kamienicy z przeciwną dola-tnie huczne tony muzyki, głośnie rozmowy i śmiechy. Znosi mękę godzinę, znosi cier-pliwie drugą. W końcu ma tego dość. Rewolwer w garść i na górę. — „Co to jest? Godzina policyjna! Koniec zabawy! Wija do domu, bo strzelam!”

dziwo. Czy postać dzielnej drajwerki wy-głąda tak groźnie, czy to lufa rewolwe-ru skierowana ku górze tak działa, dość, że muzyka cichnie, a rozbawione grono potulnie zbiega po schodach. — Gdyby to widział siwy pułkownik, o ileż lżej to był sam jeden tylko. Tu uciekały tłumy. Ot, czasy nastały.

Minie miesiąc, minie rok niejeden może. Ręce przywykłe do kierownicy chwycą się innej pracy. Zniknie trud dzisiejszy, zniknie niejedno, co dzisiaj targa sercem i przejmuję bólem. Zosta-nie wspomnienie spełnionego obowiązku jako tło zasadnicze tego okresu, a na nim jak na kanwie zaczną powstawać, wybijać się na plan pierwszy te drobne fragmenty i epizody, które dzisiaj są ilu-stracją pracy i trudu, a jutro zamienią

## Listy do Redakcji

### „Kobiety-żołnierze A. K. do koleżanek z P. S. K.

Szanowna Redakcjo!  
Chcemy w jakiś sposób dać wyraz temu, co odczuwamy teraz, będąc wśród Was, tj. ochotniczek P.S.K. 2. Korpusu. My z A.K. wdziałaliśmy o Was w Kraju niewiele. Po uwolnieniu obozów w których przebywaliśmy w Niemczech, nie zaraz zjawili się polscy oficerowie i żołnierze. Kiedy przyjechali, dziwili się... nam, „prawdziwym żołnierzom” — jak mówili. Ich zdaniem P.S.K. nie jest wojskiem i, prawdę mówiąc, okazy-wali raczej zadowolenie z tego. Należy się więc i nam szczerze przyznać do naszych myśli: trochę nas to dziwiło, a trochę też nastawialiśmy się lekcewa-żąc do Was i Waszej pracy.

Nie wiem, czy jestem wyrazielką wszystkich, ale jest nas duża grupa, któ-ra po zetknięciu się z Wami, całkowicie zmieniła zdanie. Oczywiście — na Wa-szą korzyść. Przede wszystkim spotka-łyśmy się z serdecznością tak wielką, że nie przestajemy do tej pory wzruszać się. Od Inspektorki Głównej po naj-ustanne dowody pamięci, nawet drobia-zkowej opieki. To jest właściwie wraże-nie pierwsze i bez przesady — pozostaję niezapomniane.

O ile mogłyśmy widzieć Was w pracy, przynajmniej musimy, że wydajecie się nam naprawdę żołnierzami bez zarzutu — z postawy zewnętrznej, zapału i zrozu-mienia zadań, które Wam powierzono. Jeżeli wiele z nas, z A.K., walczyło z bronią w rękę, nie znaczy to, żebyśmy tylko ten rodzaj służby w wojsku uważały za określający nas jako żołnierzy. Tam w Kraju było to koniecz-kiem. Ale i tam powierzano nam raczej pracę nie związaną z walką z bronią w rękę. Nie sądzę też, że wszystkie ko-biety nadają się do tego. Nie jest to zresztą problem do dyskusji, skoro wiemy, że Polki w ważnych chwilach — a taką jest walka z najeźdźcą — ustępują mężczyznom w dzielności, od-wadze i zręczności.

Listem tym skierowanym do „Ochot-niczki” — którą uważamy dziś także za nasze pismo — chcieliśmy podzię-kować koleżankom z P.S.K. i wypowie-

się w uśmiech. I ten uśmiech wywoływać będą zawsze wspomnienia o tamtych, mło-dych, drajwerskich czasach.

Jadwiga Majewska



Służbowa z komp. transp.

dzień naszą radość z nawiązania z nimi kontaktu. Inne sprawy, które są już na-tury organizacyjno-wojskowej, mimo ich ważności dla nas, skierujemy do władz P.S.K., pewnie, że będą rozstrzygnięte sprawiedliwie dla nas — „prawdziwych żołnierzy”.

Łączymy serdeczne pozdrowienie dla redakcji i Koleżanek P.S.K.

Grupa kobiet-żołnierzy A.K.

### O wyższe studia ochotniczek P. S. K.

Kochana „Ochotniczko!

Organizowanie kursów licealnych, czy maturalnych, gimnazjalnych, a nawet tylko kompletów uczących się w zakresie ważne i dobre. Dużo ochotniczek zdo-bywa to minimum wykształcenia, a także świadectwa uprawniające je do studiów na wyższych uczelniach.

Ale o te wyższe studia mi chodzi. Czy jest możliwość dalszego kształcenia się po zdaniu matury licealnej? Czy nie byłoby wskazane, żeby te ochotniczki P.S.K., które przerwały studia na skutek wojny, mogły je teraz podjąć na nowo? Zapytuję o to, bo zdaje mi się, że teraz, kiedy nie ma działań wojennych, powinno się nam ułatwić zapisanie się na uniwersytety i akademie. Jesteśmy we



W „klasie” na kursie licealnym w S. Giorgio

Włoszech, gdzie nie sprawiałoby to zbyt wielkich trudności. Słyszałam, że te, które pragną pójść na uniwersytet i wy-jechać w tym celu do Anglii, muszą wystąpić z P.S.K. Dlaczego? Czy nie możnaby je odkomenderować na studia? Nie chcę tu powtarzać znanego argu-mentu, że Kraj będzie potrzebował ludzi z wyższym wykształceniem. Sprawa jest tak samo przez się zrozumiała, że nie powinna napotkać na żadne trudności i sprzeciwy. Za pośrednictwem „Ochot-niczki” poruszam to piękne zagadnie-nie.

Ochotniczka „Albertyna”

Odpowiedź redakcji: W sprawie zapytań Pani, zwróciliśmy się do Inspektoratu Gł. i w następnym nu-merze udzielimy informacji: czy, gdzie i na jakich warunkach możliwe jest zapisy-wanie się na wyższe uczelnie. List Pani zamieszczamy jako wyraz powszechnych pragnień, wielokrotnie już wyrażanych w listach do „Ochotniczki”.

### „Nam się należy...”

Jestem w wojsku już blisko 4 lata. Pi-szę „w wojsku”, bo wiem, że tak czuje większość z nas, niezależnie od tego, czy nas nazywają „Pomocniczą Służbą Kobiet”, czy „Pracownicami Kontraktowymi”, czy „Siostrami P.C.K.”. Dziś za-stanowiło mnie jedno, dość często spo-tykane teraz zdanie i chcę sprowokować moje Koleżanki z innych oddziałów, by się na ten temat wypowiedziały. Cho-dzi mi mianowicie o: „nam się należy...” I tu następuje ciągający się w nieskończo-ność wykaz tego, co nam, żołnierzom 2. Korpusu należy się „za”... I tu długi wy-kaz naszych zasług, a przede wszystkim zasług tych, „którzy odeszli, nie pytając o to, co w zamian dostaną.

Z punktu widzenia prawnego może nam się i należy — tylko od kogo? Jeżeli je-steśmy na służbie u Anglików, to nam się należy to, co żołnierzom brytyjskim, ale jeżeli — jak jest w istocie — w służ-bie Rzeczypospolitej, to przecież od roku 1939 bilans Państwa i jego obywateli wy-paść tak, że po stronie „Państwo” nie było finansowej pozycji „ma”. Czy więc dzisiaj, w r. 1945, gdy bilans Polski przedstawia tak tragiczne i poważne bra-ki, którykolwiek z Jej żołnierzy ma pra-wo od Niej żądać czegokolwiek. Czy dzi-siejsza nasza sytuacja państwowa nie

(Ciąg dalszy na str. 26)

(Dalszy ciąg listu „Nam się należy...“ przypomina wielu chwil z historii naszego Kraju, gdy przeciętny obywatel ostatni grosz, a gdy tego nie stało, ostatnią kroplę krwi składał do Skarbu Państwa? I wiedział doskonale, że mu to Polska odda — jak będzie mogła oddać, że odda jego dzieciom czy wnukom, lub zachowa na przyszłe potrzeby Państwa.

Wydaje mi się, że dziś właśnie tak wygląda to nasze: „nam się należy... za...”

My ochotniczy chyba wiemy, że Polska nam już zapłaciła tym, że — mamy prawo być jej żołnierzami, mamy prawo nosić Krzyż Walecznych! A te inne sprawy? Przecież, prawdę mówiąc, prawie każda z nas nazbierała w tych latach

służby parę cennych drobiazgów, czy parę funtów, które właśnie będzie mogła oddać, gdy się nareszcie tak warunki ułożą, że Polska, taka jaką chcemy mieć, będzie mogła korzystać z naszych skromnych \*oszczędności, gdy je weźmie dla Siebie i bez pokwitowania!

Tak mnie się wydaje. I myślę, że jeżeli „stary żołnierz” P.S.K. dostanie urlop do dzieci do Palestyny, czy do męża w Syrii albo w Egipcie, powinien sobie powiedzieć: „Jak to dobrze, że mi ten urlop dali...”, a nie tak, jak się to często słyszy: „Musieli mi dać, bo mnie się przecież należało za...”

Ochotniczka

## KRONIKA

### Zjazd Techników Polskich w Rzymie

W dniu 29.VII. odbył się w Rzymie Zjazd inżynierów i techników polskich we Włoszech. Na zjazd przybyło 342 inżynierów i techników: z 2. Korpusu, cywilni uchodźcy oraz delegaci z b. obozów jenieckich w Niemczech. Techników włoskich i zaprzyjaźnione włoskie organizacje techniczne reprezentował prof. Galeati. Przybyli na zjazd przedstawiciele władz R. P.

Po powitalnych przemówieniach i referacie o obecnej sytuacji, Zjazd przyjął przez akklamację rezolucję określającą postawę ideową zgromadzonych. Rezolucja stwierdza między innymi: „Wierni Rzeczypospolitej Polskiej i jej prawowitym władzom — Prezydentowi Raczkiewiczowi, Rządowi z premierem Arciszewskim na czele, świadomie pozostajemy w szeregach polskiego obozu niepodległościowego na emigracji... Nie mogąc powrócić do Kraju, będziemy na obczyźnie dążyć do utrzymania i powiększenia polskich pełnowartościowych kadr technicznych. Będziemy się przygotowywać również do zadań przyszłej odbudowy naszego państwa, gdy ustanie na jego ziemiach obca przemoc i gdy przyjdzie nam naprawiać nie tylko zniszczenia celowo dokonane przez nowego okupanta, ale i spustoszenia wyrządzone przez system, który przyjął człowieka: maszynę i postęp techniczny — zmienia w narzędzia ucisku i eksploatacji w rękę

totalitarnego państwa... Jesteśmy gotowi do dalszych ofiar i dalszej walki w imię prawdziwej wolności i demokracji, w obronie chrześcijańskiej zachodniej kultury. Wierzimy, że w ten sposób służymy nie tylko polskiej, ale ogólnoludzkiej sprawie”.

Referaty fachowe wygłoszone na Zjeździe wywołały obszerną dyskusję, po której sformułowano tezy określające najpilniejsze potrzeby i możliwości techników polskich we Włoszech. Dominującą nutą na Zjeździe było poszukiwanie roli społecznej dla technika polskiego w wojsku i poza wojskiem, oraz wykorzystanie go i jego umiejętności fachowych dla dobra rzeszy uchodźczej. Zjazd powziął szereg uchwał w sprawie podniesienia kwalifikacji fachowych techników, ich wykorzystania, w sprawie szkolnictwa technicznego i wielu innych.

W drugim dniu Zjazdu zorganizowały się następujące sekcje fachowe Stowarzyszenia Techników Polskich w Wielkiej Brytanii — Oddział we Włoszech, mechaników, elektryków, chemików, architektów, rolno-leśna, wodna, lądowa, górniczo-hutniczo-naftowa, geodezyjno-miernicza. Sekcje obradowały oddzielnie, po czym na walnym zebraniu tegoż dnia wybrano władze Stowarzyszenia.

Zjazd wysłał depeszę do Prezydenta R.P., Premiera Rządu R.P., Naczelnego Wodza, Dowódcy 2. Korpusu, Polonii Amerykańskiej, Światowego Związku Polaków, Stowarzyszenia Techników Polskich w Wielkiej Brytanii, Stowarzyszenia Techników Polskich w Ameryce.

### Bierutowska pułapka

W Palestynie istnieje bierutowski „Związek patriotów polskich”, który bardzo gorliwie werbuje przebywających tam na uchodźctwie Polaków do powrotu do Polski. W tym celu rozsyła się deklaracje, zawierające następujące rubryki do wypełnienia:

Imię i nazwisko  
Imiona rodziców  
Dzień, miesiąc i rok urodzenia  
Gdzie urodzony, wieś, pow., woj.  
Wykształcenie  
Gdzie kończył studia  
Do jakiej partii czy związku należał(a) w Polsce przed wojną  
Czy chce wrócić do Kraju  
Jaki majątek pozostawił w Kraju  
Kto pozostał w Kraju z rodziny

Niniejszym zobowiązuję się być lojalnym względem rządu rządu R. P, który urzęduje w Kraju, jako też władzom ZSSR, które wzięły odpowiedzialność na siebie za wprowadzenie mnie do Kraju”.

Prócz tych rubryk są jeszcze „Uwagi”: „Jeżeli ktoś z wypełniających niniejszą deklarację ma dalszą rodzinę lub znajomych na obczyźnie, należy podać ich nazwisko i dokładny adres w Kraju i na obczyźnie w celu zawiadomienia ich o powrocie do Kraju. Adresy rodziny lub znajomych należy wypełniać na odwrotnej stronie niniejszej deklaracji”.

Oto treść tej „deklaracji”. Nie należy nawet „czytać między wierszami”, żeby zrozumieć do czego nakłania się już „deklarowanych”. Jest jasne, że mają denuncjować tych, którzy nie chcą wrócić do Polski rządzonej przez NKWD. Jeżeli jednak ręka NKWD nie może osiągnąć Polaków na obczyźnie, to bez trudu może to zrobić z rodzinami ich w Kraju. Dokładne adresy ułatwiają ten proceder. Temu samemu służy uzyskanie pośrednictwa Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie w nawiązywaniu korespondencji uchodźców z rodzinami w Kraju. Są to zwykłe, już wypróbowane pułapki NKWD.

### Konkurs, który się nie udał

Ogłoszony przez redakcję „Ochotniczki” w numerach 1 i 2, 1945 r. Konkurs na reportaż o pracy P.S.K., widocznie nie zachęcił koleżanek i kolegów. Nadesłano 4 reportaże, które nie odpowiadają warunkom pod żadnym względem. Przykrość jest więc obopólna, bo zarówno redakcji jak i autorów czy autorek owoych czterech reportaży.

### TREŚĆ NUMERU

- |  |                          |  |                       |
|--|--------------------------|--|-----------------------|
| 1. Polski sierpień . . . . .                 | Janosta                  | 10. Strumień prozy. . . . .                  | G. Herling-Grudziński |
| 2. Bomba i kapitulacja . . . . .             | J. Ż.                    | 11. Obrona Telimenu. . . . .                 | Włod. Sznarbachowski  |
| 3. Pielęgnowanie wiary . . . . .             | I. M. Bochoński O. P.    | 12. Pochwała pism „nieopierzonych” . . . . . | On                    |
| 4. Analogie mesjanizmu . . . . .             | J. C. Krasinski P. S. B. | 13. Rocznice . . . . .                       | Beata Obertyńska      |
| 5. Powstanie Warszawskie . . . . .           | Marta Tyszewicz          | 14. Żołnierz i książka. . . . .              | Natalia Mionowska     |
| 6. Ryś w Kraju i dziadek z Londynu . . . . . | Barbara Toporska         | 15. W izbie przyjęć. . . . .                 | Seweryn Erlich        |
| 7. Wiersze z obozu w Ravensbrueck . . . . .  | Zofia Górka              | 16. Migawki z jednej komp. transp . . . . .  | Jadwiga Majewska      |
| 8. W skarbcu bazyliki św. Piotra . . . . .   | Emilia Szenwicowa        | 17. Listy do Redakcji. . . . .               |                       |
| 9. Święta — polityk i dyplomata . . . . .    | Maria Męcińska           | 18. Kronika . . . . .                        |                       |

WŁOCHY, 1945 r.

„Ochotniczka” ukazuje się raz w miesiącu — Cena 20 lirów  
Wydawca: Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu  
Redaktorka Naczelna: dr Herminia Naglerowa  
Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 62  
„Ochotniczkę” nabywać można w Referatach Kultury i Prasy 2. Korpusu, w Oddziałach P.S.K. w Kantynach polowych, oraz w Świetlicach